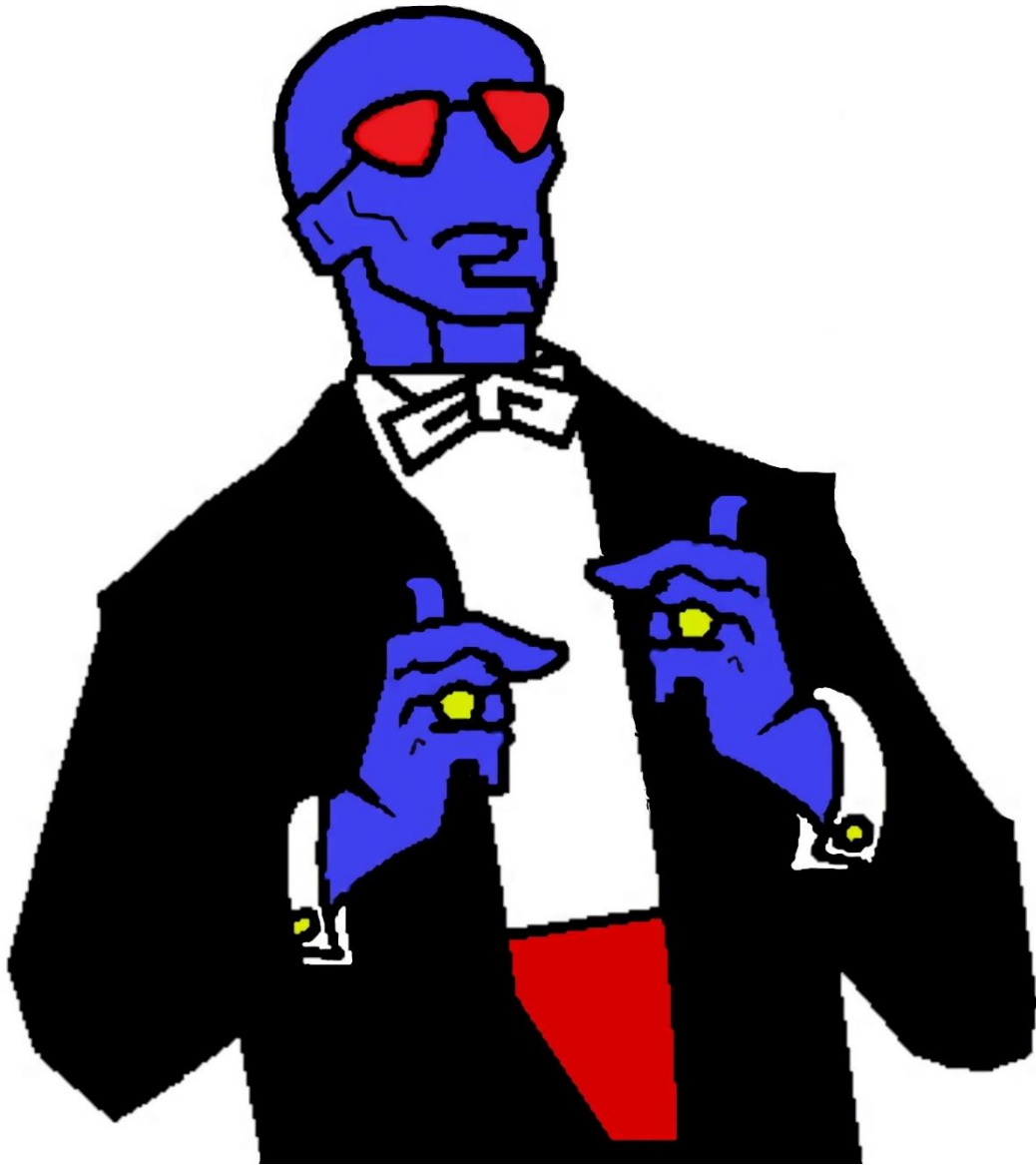


Lotar PAZGRAT



DYGNITARZE

kreatywna rekonstrukcja zaginionej powieści

Stanisława Ignacego Witkiewicza

DYGNITARZE

Projekt okładki:
Lotar Pazgrat

Ilustracje:
Natalia Kowalska

Zasłużeni recenzenci w porządku alfabetycznym:
Cyndecka Agnieszka
Naglik Elżbieta
Niedzielska Anna
Wasiukiewicz Helena

ISBN 978-83-939664-1-7

©Copyright by Tomasz Jan Lotar PAZGRAT, Hoeilaart 2021 V 5

Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu innych systemów, bez pisemnej zgody autora lub wydawcy (art. 116 i 117 ustawy z dnia 4 lutego 1994 r. *O prawie autorskim i prawach pokrewnych*).

Niniejsza książka jest oparta na autentycznych wydarzeniach, z których istotna część zaistnieje w relatywnie nieodległej przyszłości.

Powieść ta nie jest przeznaczona dla osób o ograniczonych horyzontach poznawczych. Lojalnie ostrzegam, że ciężar tematu i poziom trudności tekstu zauważalnie przyspiesza siwienie włosów i matowienie paznokci u czytających.

Zrezygnuj z dalszego przewracania kartek jeśli masz problem z łączeniem kropek prostymi kreskami bez użycia linijki. Zrobisz to jednak na własną odpowiedzialność!

Zapewniam, że gorzko będziesz tego żałować niezależnie od dokonanego wyboru...

Jan Watcher

Jan Watcher szedł przed siebie sprężystym krokiem. Nie ustępował nikomu drogi. Mocno trzymał w lewej ręce elegancką laskę. Laska ta powinna wzbudzać współczucie, gdyby nie ukryte w jej wnętrzu długie, splamione krwią ostrze. Nie podpierał się na niej. Zataczał nią przed sobą małe kółka. Uważnemu obserwatorowi mogło się wydawać, że kierował rzeką przechodniów niczym dyrygent orkiestrą. Tłum rozsuwał się przed nim jak woda wokół filaru mostu.

Przepełniało go słodkie poczucie wyższości nad zabieganymi mieszkańcami miasta. Ludzie ci nic nie wiedzieli o prawdziwych mechanizmach kierujących otaczającym ich światem. I bardzo dobrze: chomiki mają kręcić kołowrotkiem, a nie zastanawiać się jak jest on zbudowany!

Watcher zaś ogarniał wszystko i znał swoje miejsce w szyku. Pielęgnował w umyśle swój obraz doświadczonego górala troszczącego się o powierzone mu owce. Oto jednak nadchodził czas sprowadzenia ich z soczystych pastwisk. Czas strzyżenia bujnej wełny. A dla części stada: czas rzeźni.

Wyczuwał rosnący niepokój podopiecznych. Pojawiła się czarna owca, która próbowała sprowadzić stado z wyznaczonej ścieżki. Nie mógł do tego dopuścić! Szedł właśnie przyjrzeć się zza weneckiego lustra co G3W planuje zrobić w tej sytuacji. Był pewien, że jego psy pasterskie poradzą sobie z tym wyzwaniem. Mimo to: kontrola najwyższą formą zaufania.

Uwagę Watcher'a przyciągnął widok grupki chłopców kłębiących się przy oknie sutereny. Z zapalem szturchali coś kijami i obrzucali kamieniami. Podeszedł bliżej i zastukał laską o chodnik. Smarkacze rozpierchli się w ułamku sekundy. Jan przykucnął. W rogu zakratowanej wnęki kulił się ociekający krwią bury kociak z zaropiałym okiem. Zwierzak cicho popiskiwał z bólu i przerażenia.

Podobno ludzie dzielą się na tych, którzy lubią psy, i tych, którzy wolą koty. Jan nienawidził wszystkich zapchlonych futrzaków. Wsunął swoją laskę pomiędzy zardzewiałe pręty. 27 kości jego lewej dłoni zacisnęło się wokół srebrnej rękojeści. Mechanizm sprężynowy wystrzelił stalowe ostrze. Kociak zajęczał przeraźliwie. Nikt z przechodniów nawet nie zwolnił kroku. Watcher zaś wyprostował się i ruszył dalej.

4.1 Jedność w wielości

Izydorem wstrząsnął przejmujący ból. Mężczyzna tkwił pośrodku mrocznej otchłani nieprzytomności. Całe jego rozgorączkowane ciało obejmowała wypełniona cierpieniem punktochwila. Sine powieki drgały spazmatycznie. Stalowo–niebieskie źrenice tliły się pod potarganą grzywą czarnych aż do obrzydzenia włosów. Niewyraźny bełkot z trudem się przebijał przez rytmiczny stukot kół pociągu:

... jedność w wielości ... wielość w jedności ...

... *manifique* ... *terrific* ... *wunderbar* ...

... zupełnie nowy wymiar czystej formy ...

Rustalka pochyliła się i troskliwie przetarła zroszone grubymi kroplami potu blade czoło. Kosmyk lnianych włosów przysłonił jej lekko ukośne, zielone oczy w jasnej oprawie. Zagarnęła go za ucho subtelnym ruchem lewej dłoni. Jej duże usta koloru poziomki zazwyczaj aż promieniowały erotyzmem. Dziś jednak te bramy cielesnej rozkoszy były wyłącznie kreską na bladej twarzy.

Tors leżącego na kuszetce mężczyzny oplatała pajęczyna przepoconych bandaży. Widać było na nich wyraźnie plamy świeżo zaschniętej krwi. Majestatyczne szczyty gór przesuwwały się za oknem wagonu.

Mroczna postać siedziała w ciemnym rogu przedziału. Był to ponury typ, ale niepozbawiony fizycznego uroku. Ani przez chwilę nie wypuszczał z dłoni złowrogo połyskującego rewolweru. Co kilka minut ostrożnie uchylał bordową zasłonę i uważnie obserwował korytarz wagonu. Kobieta spojrzała z niepokojem w jego stronę.

- Herr Nadrazil, co teraz z nami będzie? Czy on przeżyje? Dlaczego nie zawiozłeś go do szpitala?!

- Madame Rustalko, w zawieszeniu nad przepaścią jest istota tego momentu... *The calm before the storm*, jak mawiają nasi przyjaciele. Proszę mi wierzyć, że gdyby Izydor trafił do szpitala, to nie przyjęto by go na żaden oddział, no może poza kostnicą. A i oni staraliby się go wypchnąć do krematorium. Potężnych i bezwzględnych wrogów ma nasz Izio.

Tymczasem w toalecie ostatniego wagonu trzeciej klasy czaił się osobnik o twarzy wyrazistej jak wegetariańska galaretka drobiowa. Mężczyzna ten wyróżniał się nadprzeciętną zwyczajnością.

Struna fortepianowa połyskiwała złowieszczo pomiędzy jego smukłymi palcami. Miał do niej pełne zaufanie. Zrodziło się ono w nim, kiedy był jeszcze małym chłopcem. Jego matka, praczka z Powiśla, usłyszała w uderzeniach łyżką o talerz swojego jedynaka rytmiczność godną następcy Fryderyka Chopina. Nieszczęsny malec godzinami bębnił w klawisze rozstrojonego fortepianu. Przełomem w jego życiu okazała się wizyta stroiciela. Dzięki niemu odkrył, że chociaż fortepian koncertowy ma tylko 88 klawiszy, to strun jest w nim aż 243. Swoje życie poświęcił bez reszty zagospodarowaniu tej oczywistej nadwyżki.

Miał słabość zwłaszcza do strun wiolinowych (tych od wysokich dźwięków). I cienko zazwyczaj piszczeli ci, na których gardłach je zaciskał. Nie wymagało to od niego specjalnej siły. Już nacisk 3,5 kg wystarcza bowiem do całkowitego zamknięcia światła tętnic szyjnych. Błyskawicznie odcina się dopływ krwi do mózgu. Ofiara traci wpieryw świadomość, a następnie życie.

Uważał się za niedocenianego przez społeczeństwo artystę (jak każdy zwyrodnialec). Miał swoje zasady. Nigdy nie używał ponownie tej samej struny. Zostawiał ją zawsze przy ciele ofiary. To był jego znak rozpoznawczy. Wybierał kolejne struny używane w sonacie C-moll Karola Szymanowskiego. Nie mógł uwierzyć, że ten detal nie został jeszcze przez nikogo zauważony! Ciężko jest być wirtuozem zbrodni w kraju z policjantami, którym pięciolinia kojarzy się tylko z wielopasmową autostradą...

Miał nadzieję, że opis aktualnego zlecenia wydrukują na pierwszych stronach gazet. Jego ofiarą miał stać się przecież jeden z czołowych funkcjonariuszy Pe-Zet-Pepu! Ten sukces przeniesie go do pierwszej ligi stołecznego półświatka. W życiu trzeba mieć jakieś marzenia, nieprawdaż? Muzyk nie wiedział jednak, że nie jest jedynym profesjonalnym zabójcą w tym pociągu...



5 Grupa Trzymająca Władzę

Czworo dygnitarzy zebrało się na pilną naradę. Byli rozgrywającymi z ekstraklasy. reprezentowali Grupę 3mającą Władzę [G3W] w Królestwie. Mieli nad czym debatować.

- *Bonjour!* Ciszę się, że znaleźliście chwilę czasu aby się wspólnie naradzić nad naszymi problemami...

- *Guten tag.*

- *Buongiorno!*

- *Good morning.* I pozwólcie mi przejść od razu do rzeczy: czy ktoś z panów wie o co chodzi z tym Wielkim Sejmem?!

Francuski ambasador, baron Quadradius de Rompiers skrzywił się na taką bezpośredniość Alfreda, markiza de Maske-Tower. Ci pragmatyczni wyspiarze i ich brak szacunku dla konwenansów obowiązujących w międzynarodowej dyplomacji! Osobiście uważał, że prawdziwy dyplomata potrafi powiedzieć ci spierdaj w taki sposób, że czujesz narastające podniecenie przed zbliżającą się podróżą...

- *Bene*, u mnie to samo: same plotki, domysły i odgrzewane kotlety. Żadnych konkretów. Płacimy naszym szpiegom fortunę, ale jak przychodzi co do czego, to nic wartościowego nie mają do powiedzenia. A przecież coś się szykuje!

- *Oui*, i to musi być *extraordinaire!* Wielki Sejm zwołuje się tylko co dekadę. Ostatni miał miejsce zaledwie 2 lata temu. Król musi mieć coś specjalnego w planach...

- *Of course*, ale co? – rzucił Brytyjczyk zaciągając się potężnym cygarem utoczonym na smagłych udach kubańskich dziewcząt, które marzyły tylko o końcu zmiany w fabryce i ucieczce do Miami.

- *Mama Mia*, może Królestwo w końcu jasno opowie się po naszej stronie i wyśle jakieś konkretne wsparcie na południowy front. Ofensywa Kalifatu na nasz kontynent może nastąpić w każdym momencie. Nie potrzeba nam kolejnego Brexit'u, ani Grenlandii, która nas opuściła w 1985 roku.

- Przypomnę, że moje wytyczne z Berlina są jasne: żadnych prowokacji. Nie wtrącamy się do wewnętrznej polityki Kalifatu. Póki co jego obecna działalność ogranicza się do Afryki Północnej. Nic nam do tego. My potrzebujemy mocnej deklaracji jedności

europiejskiej. Ta by się bardzo przydała. Królestwo coś za bardzo się usamodzielnia. Wschód Europy miał być dla nas źródłem taniej siły roboczej i rezerwatem dzikiej przyrody. Ufundowaliśmy im tyle pięknych ścieżek rowerowych! A oni co? Wstali z kolan i zaczęli podnosić głowy. *Scheiße!*

- Sami to sprowokowaliśmy nie dopuszczając ich do władzy w Unii. Trzeba było im wybić z głowy to Królestwo na samym początku. A my co? Śmialiśmy się, że niby monarchia to zacofanie i ciemnogród! Jeszcze im *Via Carpatia* ufundowaliśmy. Promowaliśmy współpracę regionów ponad granicami... To i zintegrowali się nam pięknie. Podłączyli się do Jedwabnego Szlaku z Cesarstwem i teraz mają nas wszystkich w dupie!

- Ależ panie ambasadorze, skąd taki język u dyplomaty? Republika się wstydzi za pana...

- *Ma République* chce rezultatów, a ja tu nic nie potrafię wskórać. *Merde...*

- *Let's cool down...* Ogarnijmy się jak przystało na G3W! Wspólnie mamy w garści wszystkich ich polityków, senatorów i posłów. Każdy z nich kiedyś wziął od nas łapówkę, jest nam coś winien lub mamy na niego konkretnego haka, nieprawdaż?

- *Molto bene*, znamy każdą drobinę brudu za ich paznokciami. Co ja mówię! Niektórzy z nich zgromadzili w czasie swoich karier tyle brudu, że można by nim zapełnić niejedną śmieciarkę.

Niemka nie mogła się powstrzymać od drobnej złośliwości:

- A ty się przecież na śmieciarkach znasz jak nikt inny.

Rodowity Sycylijszyk Rosario Menotti-Corvi nie lubił jak mu się wypominało skromne początki jego międzynarodowej kariery. Zapalił papierosa i dmuchnął gryzącym dymem prosto w jej twarz. Nigdy by tego nie zrobił gdyby tylko znał jej ukryte przed światem oblicze!

Cóż, jej świętej pamięci ex też jej nie doceniał. Osobom postronnym mogło się wydawać, iż związek ten był bardziej niż udany. Łączyła ich wspólna pasja do jazdy konnej i myślistwa. Sielanka skończyła się podczas polowania u hrabiego Jędrzeja Łohoyskiego. *Frau* pomyliła małżonka z jeleniem. Był to celny strzał. Nie pociągnięto jej do odpowiedzialności karnej. Pozostali myśliwi zgodnie podtrzymali wersję o nieszczęśliwym wypadku. Żli ludzie rozsiewali plotki, że miała poważne przesłanki

do pomylenia męża z jeleniem. W końcu to ona sama przyprawiała mu rogi romansując z hrabią Łohoyskim. A był to zaledwie początek rozwoju jej mrocznych upodobań tak świetnie ukrytych pod maską dystyngowanej elegancji. Jądro ciemności kłębiło się pod perfekcyjnym kokiem jej blond włosów. Ale o tym wszystkim później...

- Taka astma to paskudna choroba, nieprawdaż?

Frau zakasłała i sięgnęła po swój inhalator. Głęboko odetchnęła i poprawiła swoją fryzurę. Już miała szczegółowo wyjaśnić okoliczności tak niefortunnego zdarzenia jakim było poczęcie Rosario. Powstrzymał ją przed tym Brytyjczyk:

- *Please...* My tu o przyszłości kontynentu, a wy co? Przestańcie się zachowywać jak dzieci w piaskownicy!

- A od kiedy to wy tak przejmujecie się losem naszego kontynentu? Bezpiecznie sobie siedzicie po drugiej stronie kanału La Manche i razem z wujkiem Samem manipulujecie nami wszystkimi!

Zapadła kłopotliwa cisza. Anglosasi od czasu Brexit'u pogrążeni byli w stagnacji gospodarczej. Nie udało się im wynegocjować rewelacyjnych umów handlowych z krajami Afryki i Azji. Brytyjczycy obudzili się w świecie innym, niż pamiętali z okresu kiedy byli światowym imperium. Nikt nie potrzebował ich koralików. Nikt nie dawał się nabierać na dystyngowany akcent. Świat się rozwijał i nawet rządzący w krajach Commonwealth'u nie byli chętni do robienia biznesów z politycznym bankrutem i narażania swoich relacji z innymi graczami na międzynarodowej scenie.

A główni gracze bezwzględnie odcinali kupony od usunięcia brytyjskiej konkurencji ze wspólnego rynku. Wycofali swoje rezerwy złota z Londynu i odcięli dostęp City do europejskiego rynku finansowego. Skończyły się granty dla wyspiarskich uniwersytetów i automatyczne uznawanie ich dyplomów na europejskim rynku pracy. Nie pomijano żadnej okazji do pokazania krajom członkowskim jak fatalne skutki ma rozwód z europejskim projektem.

Tylko współpraca z USA ratowała Wyspiarzy od totalnej recesji. Stany zmagaly się z własnymi problemami. Przegrały wojnę handlową z Cesarstwem. Światowi potentaci odeszli od rozliczania handlu ropą w dolarach. Zielona waluta przestała być głównym pieniądzem świata. Wall Street zniszczyła prawda o dobrobycie kreowanym przez FED drukarkami o napędzie atomowym. Nikt już nie chciał kupować obligacji

najbardziej zadłużonej z rozwiniętych gospodarek świata. Cesarstwo zaczęło inwestować swoje nadwyżki w budowę Jedwabnego Szlaku. Trzeba było zacisnąć pasa i zacząć spłacać kosmiczny dług publiczny. Drastycznie podniesiono podatki. Milionerzy oczywiście dali sobie radę z obejściem systemu. Ciężar naprawy finansów państwa przerzucono na zwykłych obywateli. Sytuacja materialna ludności pogorszyła się dramatycznie. Zamieszki na tle rasowym regularnie przetaczały się przez duże miasta. Pomiędzy policją a demonstrantami domagającymi się pracy, chleba, opieki zdrowotnej i społecznej dochodziło do regularnych bitew na ulicach. Powszechny dostęp do broni odbił się systemowi czkawką. Nikt jeszcze nie nazywał tego wojną domową tylko dzięki poprawności politycznej obowiązującej w Imperium Wolności.

Stany dobiła seria katastrof naturalnych będących efektem chaotycznych wahań klimatu. Zaczęło już brakować imion dla kolejnych huraganów. Nikt już nie marzył o domu nad brzegiem oceanu.

Banksterzy skupieni w G3W potrzebowali kozła ofiarnego, na którego można by było rzucić winę za zło całego świata spowodowane ich chciwością. I oto pojawił się mikrob jakich wiele w każdej dekadzie. Media głównego nurtu / ścieku zabrały się za fabrykowanie psychozy o globalnej pandemii i apokalipsie. Społeczeństwu zaaplikowano lekarstwa gorsze od choroby...

Wyłącznie Prozac utrzymywał wiarę mas w *american dream*. Nawet najwyżsi rangą funkcjonariusze *Deep State* uzupełniali poranny zestaw witamin o psychotropę. Wady i zalety poszczególnych leków antydepresyjnych stały się ulubionym tematem rozmów śmietanki towarzyskiej. Amerykańskie elity wciąż nie mogły pogodzić się z utratą pozycji światowego hegemonia pomimo ewidentnej katastrofy systemu. Pogrążone były w mrzonkach o swojej minionej już potędze. Tymczasem jedynie wysoki poziom ich *Navy* pozwalał im wciąż odgrywać rolę **Neptuna**, władcy mórz i oceanów.

- Manipulacja manipulacjami... ho, ho... Ktoś musi przecież kierować wprowadzaniem NWO. Cieszcie się, że jesteście w klubie, ok?

- Wiele nam z tego nie przyszło... – burknął pod nosem Włoch. – Ale wróćmy do tematu. Może i mamy w garści polityczną elitę Królestwa. Problem w tym, że nie mamy żadnego wpływu na Gnębona Puczymordę. A to on rozdaje tu karty.

Dygnitarze zasepili się. Włoch zaciągnął się papierosem. Tym razem taktownie wydmuchał fantazyjne kółko dymu w kierunku sufitu. Dym ten mieszał się ze smugami snującymi się z cygara trzymanego przez markiza de Maske-Tower.

Tak, to był ich główny problem: prezes P.Z.Pepu był poza ich zasięgiem. Powszechne Zjednoczenie Partii było zaś najpotężniejszą organizacją, która koordynowała funkcjonowanie wszystkich partii politycznych w Królestwie.

- *Jawohl*, w temacie prezesa wydaje mi się, że nic nie da się uczynić. Kontrwywiad Królestwa działa zbyt skutecznie... Moim ludziom udało się jednak namierzyć głównego wichryciela. To niejaki Smogorzewski.

- *Well, well*, Somgorzewski... toż to przecież ten ideolog Pe-Zet-Pepu i filozof z bożej łaski. Najlepszy kumpel malarza Bucewicza, w którego pracowni się regularnie spotykamy... Może byśmy tak go upili i wycisnęli z niego co w trawie piszczy z tym Wielkim Sejmem?

- Wy chcecie upić Polaka? Nie rozśmieszajcie mnie! Jego trzeba po prostu wykończyć. Im szybciej tym lepiej... Tylko żeby mi to wyglądało na zwykłą pijacką burdę, a nie jakieś tajne rozgrywki. Proszę abyście w rozwiązanie naszego problemu zaangażowali się nieco bardziej niż aktorzy porno w dialogi!

Nie dziwny się nerwowej reakcji G3W. Od kilku lat świat zmieniał się dynamicznie w kierunku niezgodnym z wielkim planem ustanowienia na świecie *the New World Order* [NWO]. Na ich oczach chwiał się w posadach, będący europejską częścią NWO, eksperyment oparty o *II Manifesto di Ventotene* pióra włoskiego komunisty Altiero Spinelliego i socjalisty Ernesto Rossiego z 1941 roku.

Dzieło to postulowało stopniowe wdrożenie federalnej koncepcji zjednoczenia Europy poprzez ograniczenie suwerenności istniejących państw, odrzucenie rządów demokratycznych jako niepotrzebnego balastu i dyktaturę partii rewolucyjnej.

Sam Spinelli aktywnie lobbował na rzecz realizacji tych idei. Swoją grupę wpływu założył w knajpie „*Au Crocodile*” w Strasburgu przy ulicy de l'Outre 10. Na samym początku grupa ta była niewielka: zaledwie dziewięciu europarlamentarzystów. Ów „Klub Krokodyla” w przeciągu zaledwie roku przyjął w swoje szeregi prawie połowę Parlamentu. Machina ruszyła. Z ekonomicznej wspólnoty suwerennych państw małymi krokami stworzono Unię Europejską. Wprowadzono jednolitą walutę

w większości krajów. Przejęto kontrolę nad tworzeniem prawa w krajach członkowskich. Systematycznie zwiększono uprawnienia instytucji europejskich.

Twórcy nowej Europy przyzwyczajeni byli do kłopotów. Napotykali na problemy za każdym razem kiedy tylko obywatele krajów członkowskich mieli okazję się wypowiedzieć na temat ich wizji.

Traktat z Maastricht ustanawiający Wspólnotę Europejską odrzucili Duńczycy już na samym początku (2 czerwca 1992 roku). W Deklaracji Edynburskiej przyznano im wyłączenia z podlegania prawu unijnemu w 4 obszarach europejskiej współpracy: wspólna waluta, wspólna polityka bezpieczeństwa i obrony, sądownictwo i sprawy wewnętrzne oraz sprawy obywatelskie. Dzięki temu w powtórzonym referendum traktat przyjęto w 1993 roku.

Przeciwko powtórzeniu referendum wprawdzie protestowano, ale miejscowa władza przekonała demonstrantów do swoich racji przy pomocy konkretnych argumentów.

Policjanci oddali w sumie 113 strzałów, a trafili tylko 11 osób... Być może tych wolniejszych demonstrantów trafiono kilka razy? Wiadomo, że staruszkowie, kobiety i dzieci nie uciekają zbyt szybko. Było to jednak tylko zawirowanie na peryferiach...

Elity zszokowało pierwsze zderzenie z wolą obywateli w sercu transformacji. Oto bowiem mieszkańcy Francji i Holandii odrzucili w referendum projekt Konstytucji Europejskiej w 2005 roku. Dzielnych reformatorów to jednak nie zniechęciło ... Wola ludu nie może przeszkodzić prawdziwym rewolucjonistom działającym przecież wyłącznie dla dobra tegoż ludu!

Niepowodzenie bubla prawnego zwanego Konstytucją Europejską wytłumaczono na salonach rzekomym strachem Francuzów przed polskim hydraulikiem... A przecież każdy, któremu kiedykolwiek ciekła woda z rur dobrze wie, że ostatnim jego zmartwieniem jest narodowość specjalisty ratującego mu lokal od zalania!

Szybko znaleziono boczną furtkę: Traktat Lizboński, do którego dołączono unijną Kartę Praw Podstawowych. I tam też upchnięto wszystkie kluczowe kwestie dla dalszej integracji.

Aby traktat ten mógł wejść w życie, zbędne było pytanie o zgodę zwykłych obywateli. Wystarczyła jego ratyfikacja przez krajowych parlamentarzystów... poza Irlandią. Konstytucja Irlandii wymaga przeprowadzenia w takiej kwestii referendum, które

odrzucało tenże traktat! No ale przecież 4 miliony Irlandczyków to nie wielka Francja! Przywołano do porządku miejscowych polityków. Obiecano im, że nikt nie będzie wtrącać się tam do aborcji. Zapewniono neutralność kraju. Zagwarantowano, że dalej będą mogli kantować inne kraje na podatkach. A przede wszystkim obiecano irlandzkim politykom stołek komisarza w Komisji Europejskiej. Tak zachęczone i wsparte finansowo lokalne elity zabrały się do profesjonalnej kampanii propagandowej (tj. informacyjnej). Zielona Wyspa poparła Traktat Lizboński w ponownie przeprowadzonym referendum...

Droga do systemu powszechnego dobrobytu wydawała się szeroka jak niemiecka autostrada. Ale na każdej drodze zdarzają się wypadki...

Pierwszym problemem był kryzys migracyjny, który uświadomił mieszkańcom Europy, że mają za oknami widok zupełnie inny od rozpościerającego się z podmiejskich rezydencji elit politycznych.

Prawdziwym jednak ciosem dla projektu UE było zrujnowanie jej ekonomii. Odrzucono ideę cykliczności rozwoju gospodarki. Nie pasowała do wizji bezustannego rozwoju i powszechnej szczęśliwości. Panicznie zwalczano wszelkie przejawy recesji. Traktowanie zwykłego, przejściowego pogorszenia się sytuacji jako poważnej choroby zawsze prowadzi do zastosowania złego lekarstwa. A takie lekarstwo w najlepszym razie nie pomaga. W 10 przypadkach na 9 dochodzi do wystąpienia niepożądanych efektów ubocznych i pogorszenia się kondycji leczonego.

Lekarstwem na wszystkie problemy było zaś drukowanie dodatkowych pieniędzy. Radosna TWMPMZS (*Third World Monetary Policy by Printing Money Zimbabwean-Style*) uprawiana pod profesjonalnie brzmiącym szyldem *Quantitative Easing* doprowadziła do krachu walutowego. A przecież psucie waluty od wieków było nieomylnym znakiem upadku każdego państwa...

Drukowanie pieniędzy w celu zakupu obligacji krajów, które zamiast dalej się zadłużać powinny raczej zacisnąć pasa... W celu pobudzenia inflacji? A od kiedy to okradanie własnych obywateli z realnej wartości ich oszczędności jest dobrą rzeczą?

Jan Watcher przyglądał się rozchodzącym się członkom G3W. Korzystanie z weneckiego lustra było nieco staroświeckie w epoce mikroskopijnego sprzętu szpiegowskiego.

Bezpośrednia obserwacja dawała mu jednak poczucie osobistego uczestnictwa w spotkaniu. Umożliwiła mu dostrzeżenie szczegółów i atmosfery, których nie odda żaden zapis cyfrowy. A przede wszystkim Watcher chciał, żeby oni wiedzieli, że on wie. Pielęgnował otaczającą go aurę dyskretnego i totalnego nadzoru. Skuteczna inwigilacja była częścią jego wizerunku. Jediną skazą na tym wizerunku były małe krople kociej krwi zaschnięte na jego błyszczących lakierkach.



6 Prezes

Okna gabinetu pierwszego Prezesa generalnego Pe-Zet-Pepu Gnębona Puczymordy były jak zawsze zasłonięte grubymi kotarami. Mężczyzna w dojrzałym, acz trudnym do określenia wieku, siedział za dębowym biurkiem. Był on politykiem wielkiego formatu, nikczemnego wzrostu i podłego usposobienia. Wredne indywiduum o masie, która zanurzona w cieczy szokowała nawet najodważniejszych badaczy problemów gastrycznych płetwali błękitnych. Ta gruba warstwa tłuszczu świetnie chroniła go przed chłodem, głodem i rozpustą. Na opuchniętej twarzy wyraźne były ślady trudów wczorajszej uroczystości z okazji jego własnych imienin. Małe, złośliwe oczka błyszcząły intensywnie pośród zwałów tłuszczu udających rysy twarzy. Jego obleśne oblicze przecinały na 4 części czerwony nos, sine usta i spiczasta broda.

Szef tajnej policji (oficjalnie funkcjonującej jako Urząd Wewnętrznej Informacji: UWI) próbował wybrać najmniej ohydną z tychże ćwiartek. Książ Olgierd Śmierdzi-Uszko już po chwili się poddał. Wszystkie były paskudne, choć prawy policzek wyróżniał się owłosioną kurzajką. Żaden malarz nigdy nie namalował jej na jakimkolwiek z licznych portretów Prezesa. Olgierd szybko poprawił się w myślach: żaden malarz przebywający na wolności. Osobiście kierował kilkoma aresztowaniami artystów, którzy nie wykazali się w swojej twórczości należyłą wrażliwością estetyczną. O tak! Ludzie sztuki mieli zapewnioną absolutną wolność wyrazu w kraju rządzonym twardą ręką P. Z. P. Wolno im było wyrazić w dowolnej formie, i to bez najmniejszych nawet ograniczeń, swój szczerzy, spontaniczny zachwyty przewodnią linią jedynie słusznej drogi rozwoju państwa.

- Ha! I co ma mi do powiedzenia o wczorajszej nocy mój **aktualny** szef tajnej policji?

Kniaziowi nie umknęła oczywista aluzja Puczymordy. Stanowisko naczelnego donosiela sprawował dopiero 2 lata. A i tak był rekordzistą. Wiedza to władza. A Prezes nie potrafił się dzielić władzą z nikim zbyt długo. Kariera jego poprzedników kończyła się zazwyczaj po kwartale. Nie obciążali oni budżetu państwa pobieraniem emerytury. I nic w tym dziwnego, bo w pracy tej narażali się wszem i wobec. Pozbawieni ochrony Urzędu ulegali serii niefortunnych zdarzeń, z których ostatnie było zazwyczaj śmiertelne. Jego poprzednik Leon Chwistek nie był wyjątkiem. Zamordowali go wynajęci przez Witkacego siepacze.

Olgierd z trudem przypominał sobie jakich to argumentów użył Puczymorda, aby go przekonać do objęcia stanowiska Szefa UWI. Pojęciowo nieartykułowany bełkot odwoływał się do jego poczucia lojalności wobec kraju, Pe-Zet-Pepu i Gnębona. Książę zdołał już wcześniej zauważyć, że w umyśle Prezesa te trzy pojęcia stanowiły jedność. Wszystkie trzy miał głęboko tam, gdzie tęcza nie dochodzi. Jego arystokratyczna pycha nie pozwoliła mu jednak odrzucić tak eksponowanej posady.

Olgierd pochodził bowiem, według swego mniemania i dowodów (słabych zresztą) Instytutu Heraldycznego, od słynnego księcia Śmierdzi-Uszka, wodza Olgierda. Był postacią nader komiczną w kołach prawdziwej arystokracji. Przebaczano mu jednak wiele z powodu genialnych biznesów, w których okpił nawet samego Nadrazila (świnę biznesową pierwszej klasy), i wpływów w Pezetpe, które miał jako zręczny tak zwany „usuwacz niepotrzebnych gratów” (o tym później).

Prezes sprowadził go na ziemię głosem kwaszącym krowom mleko w wymionach:

- O wczorajszej nocy, co ma mi do powiedzenia?!

- No, ludzie świętowali wasze imieniny... Ogólnie rzecz biorąc było to jedno wielkie, radosne pijaństwo. Władza i funkcjonariusze P. Z. P. pili z radością. Jeśli każdy toast za zdrowie przedłuży życie choćby o minutę, to Prezes będzie żył z tysiąc lat jak nic!

- Ha, ale gdyby każde złożenie skracało mi życie o sekundę to umarłbym już 3 wcielenia temu...

- Ależ Prezesie, pan się nie boi... Cały kraj murem za panem stoi!

- Wy mi tu Olgierd nie ściemniajcie. Mówię jak jest. Od wazelinowania mam wydział piąty. Powtórzę moje pytanie: co się wydarzyło wczorajszej nocy?!

- Dużo różnych rzeczy się wydarzyło... Jeszcze nie zdążyłem przeczytać wszystkich raportów... Pan Prezes ma coś konkretnego na myśli?

- A pewnie, że mam!

- Prezes raczy powiedzieć? Czytanie w myślach nie jest moją najmocniejszą stroną...

Gnębón ciężko westchnął. Wpatrzył się w wiszącą na ścianie abstrakcję z siedmioma niebieskimi kwadratami wypełniającymi płótno zgodnie z koncepcją ciągu Fibonacciego. Na ich tle błyszcząca zgrabna, złocista spirala.

- A co jest twoją mocną stroną, mój drogi Olgierdzie? Zapewne nie jest to błyskotliwość! Wszystkie punkty twojego IQ można policzyć na palcach niedbałego rzeźnika...

- Errr... Może lojalność?

- No tak... BMW: bierny, mierny, ale wierny. I jak ja kogoś takiego wyznaczyłem na stanowisko szefa tajnej policji! Cóż, mogło być gorzej, choć w sumie nie wiem dokładnie jak... Doprecyzuję: co się wydarzyło na ulicy Dolnych Młynów?

- AaAa... To Prezes już wie o krwawej jatce w atelier tego malarza z bożej łaski?

- Pewnie, że wiem. Myślicie, że macie wyłączność na donoszenie szefowi Pe-Zet-Pepu?

Książ zamilkł. Jeden z departamentów jego Urzędu Wewnętrznej Informacji zajmował się wyłącznie sporządzaniem i aktualizowaniem listy informatorów Prezesa. Była to lista długa, oj długa. Było na niej ujęte nazwisko każdej osoby, która w Królestwie cokolwiek znaczyła, lub chciała coś kiedykolwiek znaczyć. Skrupulatnie badano nie tyle treść donosów, ale ich częstotliwość. Jeden donos w miesiącu był uznawany za absolutne minimum wśród osób chcących uchodzić za wiernych zwolenników Gnębona Puczymordy. Niektórzy z braku tematu donosili nawet na samych siebie...

- Errr... Nie, no oczywiście, że nie... Skoro już jednak o wszystkim dokładnie wiadomo, to cóż ja, biedny żuczek, mogę jeszcze dodać?

- Co ja wiem, to moja sprawa! A teraz mówcie, co wy wiecie. Zrozumiano?

- Ależ, rozumie się, że zrozumiano! A co do zajścia na ulicy Dolnych Młynów to już referuję. Pracownia malarza Marcelego Kiziora-Bucewicza mieści się w ogromnym, starym młynie przerobionym na mieszkalną kamienicę. Zgodnie z poleceniem Prezesa obserwujemy ten lokal już od pół roku. Założyliśmy też kartoteki wszystkim go odwiedzającym. Stałych bywalców otoczono dodatkową „opieką”. Nie było ich zbyt wielu...

1 / 3 Jedyne Wyjście

Pracownia malarza Marcelego Kiziora-Bucewicza mieściła się w ogromnym, starym młynie przerobionym na mieszkalną kamienicę. Zgodnie z poleceniem Prezesa Pe-Zet-Pepu obserwowano ten lokal już od wielu miesięcy. Stałych bywalców otoczono dodatkową opieką. Nie było ich zbyt wielu. Wszyscy pojawili się tam owego fatalnego dnia. Byli to biznesmen Żywiołowicz, samozwańczy filozof Smogorzewicz-Wędziejewski, pianista Tępnia-Cyferblatowicz, angielski markiz Maske-Tower, włoski syndykalista Menotti-Corvi, książ Śmierdzi-Uszko i muza gospodarza – Suffretka Nunberg.

Malarz ostro dawał w palnik już od wczesnego świtu, to znaczy od godziny dziesiątej... Z masochistyczną rozkoszą wyrznął z czystym sumieniem dwie szklanki wódki na czczo. Tak przygotowany szybko niuchnął olbrzymią porcją „białej wróżki” (półtora grama w dwóch rzutach). Zagryzł sucharkami *Bébé-Malade* moczonymi w gotowanej szaławii. Popędził do łazienki na zimną kąpiel. Wyszedł z łazienki nie ten człowiek – raczej nie to, bo umetafizycznione bydlę. Był już w innym świecie. Życie realne zniknęło jak pyłek zdmuchnięty huraganem. Wszystko pędziło w niezmierną, burzliwą, siną dal wspomnień. Trwało jednocześnie w tym samym pokoju. Żółty klon zdawał się za oknem rosnąć na innej planecie. Malarz energicznie zabrał się za ukończenie swojej ostatniej kompozycji *Samozapępania się gnębitów*.

Suffretka Nunberg weszła tylnymi drzwiami: ciemne wcielenie wiosennej jesienności, symbol uciekającego beznadziejnie życia. Suffretka była rozkoszna ponad zwykłą miarę. Marcelec uczył taki dreszcz w krzyżu, jakby świat cały doznał w tej chwili orgazmu. Całując ślinił ją jak anakonda królika przed pożarciem. Suffretce taka żądza dawała potworną rozkosz. Tego nigdy z Rustalką nie było, ale o tym później.

Przerwało im wejście Nadrazila Żywiołowicza, który przywiódł swoich gości: Romka Tępnia i Alfreda Maske-Tower'a. Po chwili dołączył do nich Menotti-Corvi oraz Olgierd Śmierdzi-Uszko we własnej osobie. Goście rozsiedli się w fotelach trzcinowych.

Dyskusja i libacja błyskawicznie się rozkręcały. Alkohol lał się strumieniami. Wszyscy zaczynali być dziko pijani. A przecież była dopiero jedenasta rano! Kizior malował, dyskutował i pił pogrążając się w oparach twórczej ekstazy. Do diabła! Zapomniał,

że jutro ma pojedynek z baronem Quadratitusem de Rompiers, wysłannikiem dalekiej Francji. Działo się z nim coś okropnego, a raczej dzieć się zaczynało. Suffretka spojrzała na niego z niepokojem: zdawał się jej być „żywym trupem nie istniejącego wariata”. Wyczuwała zbliżającą się nieuchronnie tragedię. Zadzwoiła do jedyne go, prawdziwego przyjaciela artysty: Izydora Smogorzewicza-Wędziejewskiego.

Wnętrznosci Marcela zalała fala okropnego żalu za utraconym dawnym życiem. Zawył nagle, gdy ujrzał siebie jako chłopczyka z długimi włosami i w białej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem. Co z niego wyrosnąć mogło, a co wyrosło. Wyrzygał się lekko brunatną pianką do stojącego obok sztalugi błękitnego kubeczka i to mu świetnie zrobiło.

- A teraz won stąd wszyscy do domów swych, jeden za drugim, bo staję się niebezpieczny! – zaryczał i zbladł.

Wynosili się goście pospiesznie, zdumieni (każdy na swój sposób) nagłą zmianą nastroju gospodarza. Klon za oknem stał teraz w pełnym słońcu, błyszcząc jak **prawdziwa** tiara Saitafernesa w gasnącym blasku gwiazdy drugiej klasy.

Malarz powrócił do płótna. Pogrzyżył się w ponurym monologu filozoficznym. *Dobrze, że przynajmniej Chwistka zamordowali najęci przez Witkacego siepacze! Ten typ ludzi jest płodny jak sama logistyka... Któż bowiem prócz Boga położy kres tworzeniu nowych, nikomu niepotrzebnych twierdzeń o nieprzejranych horyzontach komplikacji? Któż wykastruje wszystkich relatywistów i sceptyków o nieskończonym zasięgu pojęć czystych...*

Myśl zaczęła się rozwiewać kokainowym śwędem w pierdolony chaos. Ogarnęła go wściekłość głucha, pijacka i bezprzedmiotowa. Wyrażała absolutne nienasycenie niczym w jego ograniczeniu wśród nieskończoności świata. Gówniał i drewniał. Pierdział sobą w wymarżle otchłanie i śmierdział metafizycznie schizoidalnym rozpadem jaźni. *Sztuka, gdy jest prawdziwa, to straszne bydlę, złośliwe, egoistyczne, okrutne i lubieżne. Dziś to raczej oswojona wesz.*

W boleśnie puchnącym łbie Marcelego przemykały idee i myślociągi. Sieci neuronów nie wytrzymały szybkości na drogach kojarzeniowych.

W tej chwili Smogorzewicz-Wędziejewski wszedł do pracownianego korytarza. Był wyświeżony po nocy poślubnej z Rustalką, potwornej porcji lektury filozofii Whitehead'a i osobistych zmagani z opisaniem własnej koncepcji rzeczywistości.

Izydor stał i patrzył, patrzył, patrzył. Jego przerażenie rosło. Widział nie dobrego Marcela z lat dawnych, a nawet ostatnich, umiarkowanie narkotycznych. Miał przed sobą metafizyczną bestię, międzyplanetarne monstrum, zmaterializowane tu, w naszym światku, przez trzy litry wody i 3 gramy doskonałej niemieckiej kokainy. Marcel przesolił dawkę. Izydora obleciał strach.

Suffretka patrzyła na Marcelego z wyrazem gazelego nieomal współczucia. Izydor stał obok niej. Miętosił przy tym swoją czarną czuprynkę w bezsilnym zatroskaniu.

- Jak się masz? – zapytał patrząc w obłąkane, czarne od rozszerzonych źrenic oczy przyjaciela. Oczy te wylaziły w nieskończoność jak jakieś urojone karaluchy...

- Jak widzisz – bezdźwięcznie odpowiedział Marceli drżąc na całym ciele.

Zbliżała się okropna chwila odwrócenia wszystkich wartości. Klon za oknem zjeżył się jak dziki zwierz i runął całą swoją żółtością i palczastością na nieszczęśnika. Bohomaz ział zimnym metafizycznym smrodem trupich zaświatów – był nierealny jako przedmiot w pracowni, nie jako obraz.

- To, widzisz, ja dlatego umieram – wyrzekł powoli Marcel. Oderwał z trudem jedną od drugiej zolbrzymiałe, lepiące się do siebie, zaciskające się z niezmiernym wysiłkiem szczęki. – Kończy się ścierwo we mnie, a ja w tym ścierwie.

- Przesoliłeś dawkę. Panno Suffretko, kompres zimny na serce.

Pobiegła szybko „jak ta łania zwinna i lekka”.

- Nic ci nie będzie. Ty jeszcze wiele wytrzymasz – dodał Izio widząc nagły błysk śmiertelnego strachu w nieprzytomnych oczach Marcelego. Chciał go zahamować nad samym brzegiem przepaści obłądu i śmierci.

Razem powalili Marcelego na kozetkę. Zrobili mu kompres na serce. On zaś gadał bez przerwy, jakby mu jakaś błonka trzymająca gadulstwo na uwięzi nagle pękła. Rzeczy to były straszne. Izydor słuchał ich ze zgrozą zapadając się beznadziejnie w siebie.

- Świat się roi od widm niespełnionych czynów! – ryknął nagle Marcel. – Chcę być wszystkim! O wszystkości w takości! Co za cudne pojęcie... Tu chodzi o sztukę, każde jej dzieło i każde indywidualne istnienie...

- To są bzdury! – Jak wytrzeźwiejesz będziesz inaczej o tym sądzić. Tak jak o genialnych pomysłach ze snów, które na jawie bzdurą nam się zdają i bzdurą są...

- Ależ on nie trzeźwieje, panie Izydorze! On doszedł do ciągłości wszędzie gęstego stanu nienormalnego! On nie śpi wcale! Raz na tydzień zapada w bezwład zupełny, bydlęcy... To nie sen, to rodzaj paraliżu, pół-śmierci. Ja nie wiem, co zrobię – ja go tak kocham! A jeżeli nie damę mu robić tego, co on chce, to wmawia mi, że go mam za nic!!! – zawyła wprost nieszczęsna Suffretka. Rozplakała się na dobre. – Co robić... Co robić?!

- Kompres, kompres, na litosierdzie boże!

Suffretka zmieniła kompres na pokrytej wspaniałymi blond kłakami piersi kochanka i przyjaciela. Izydor zaczął mówić nagle:

- Otóż słuchaj mnie, Marceli. Przeczytaj książkę Witkacego o narkotykach. A tymczasem powiem ci co następuje. Rozumiem picie i zażywanie czort wie czego od czasu do czasu. Ale to jest dobre dla tytanów, którzy się nie nałogują. Ty jesteś nałogowcem. A czy może być coś ohydniejszego niż nie być sobą? Nie być stworzoną własną wolą i przemyślem organicznie z bebechów własnych wyrosłą hiperkonstrukcją? Być tylko chwiejnym gmaszkiem skleconym z byle jakiś resztek przez coś, czego zdobycie wymaga tylko paru banknotów?

Izydor zapalał się. Czuł się prawdziwym „trudnym i niewygodnym” przyjacielem Marcelego. Nie tym, z którym przyjemnie jest upaść, począwszy od małego piwa w jakimś barze przed obiadem (potem odnoszą faceta o trzeciej w nocy do domu, zarzyganego i nieprzytomnego). Tym, który z narażeniem własnej osoby prostuje ścieżki drugiego osobnika. Tracącym przyjaźń, którą tak cenił, że aż ją zniszczyć musiał w razie „niegodności” strony drugiej. Mówił jednak nudno i w chwili nieodpowiedniej. Fatalne stąd wynikły skutki... *(ale o tym później)*

- Dobrze, dobrze tylko bez wstępów. O co chodzi? Żeby nie pił, nie zażywał koko, no, i nie malował. Nie zaczynaj tych rekolekcji dla kucharek. Tego nie zniosę i koniec! No?

- I cóż uczynisz, nieszczęśniku, gdy nie zniesiesz? Cóż uczynisz, nieszczęśniku? – powiedział Lzydor bez tchu od ohydneho natchnienia dobroci, płynącej ze słabości i małości, a nie z potęgi i pogardy. Całe masy są takich. Paru tylko miało talenty literackie. Ich nieszczęsne „zmagania się z własną ohydą” stały się „dorobkiem kulturalnym szerokich mas” i urosły do rangi problemów istotnych.

- Cóż uczynisz, nieszczęśniku? – zagrział jeszcze raz Lzydor i zapomniał w ogóle, o co chodziło. Zaczął z innej beczki:

- Co jest najcenniejsze w dzisiejszym człowieku, to intelekt...

- Ale nie w sztuce! Jesteś potworny nudziarz.

- Milcz! Ten to intelekt chcesz zaprzepaścić, który nawet w sztuce jest czymś koniecznym? Chcesz zaprzepaścić go przedwcześnie i dokonać życia jako przedwczesny – i fizyczny, i artystyczny – impotent?! – Smogorzewicz mówił teraz programowo. Zapał odleciał. Czuł całą nicość słów. Ohydny dlań przed chwilą bohomaz promieniał teraz z szaloną siłą na całe atelier, stwarzając niewiarygodne napięcie wszystkich obecnych osobowości.

Coś działo się okropnego – to odczuwali wszyscy obecni. A mówili o tym nawet inni nieobecni: Maske-Tower, Menotti-Corvi i Tępiak, którzy z Nadrazilem jedli kolację u Langrodiego właśnie w tej samej chwili.

Nagle cały świat fajtnął potwornego kozła w czaszce Marcelego Kizior-Bucewicza. Poczuł, że stracił wszystko: Rustalkę, sztukę, siebie i to całe niespełnione życie, które przemknęło przed nim właśnie.

Kochał poszczególne dni, ale nienawidził całości swego życia. Życia pajaca ohydnej chimery: Pani Sztuki. Tak strasznie było źle w tej chwili, że gorzej już chyba być mu nie mogło. To nie do uwierzenia, że mogła się dziać taka niesprawiedliwość. Dojrzewało w nim szybko, bardzo szybko coś okropnego. Poczuł nagle, że był dla jedynego przyjaciela czymś wstrętnym jak karaluch. To zabolalo go jeszcze więcej. A innym być nie mógł.

Marceli zwinął się jak nadepnięta żmija. Jakby go kto (ale kto?) w same jaja żelazną sztangą uderzył. Zerwał się i zaczął krzyczeć. Krzyczał sycząc i sącząc w Lzydora jad zabójczy – cały jad swego zmarnowanego życia. Biedna Suffretka wstrętniejszą mu była w tej chwili od ropuszki wodnej (*Bombinator igneus*).

- Jak ty śmiesz?! Jak ty śmiesz!? Ty śmiesz mnie dawać nauki? Dawaj „coco” – Kizior zwrócił się do drżącej Suffretki – dawaj w tej chwili, bo cię zarżnę brudną szpachlą!

Dała. Pociągnął.

Izydor nie śmiał protestować, przerażony piekielnym jakimś ciemnopurpurowym majestatem, który bił od Marcelego na wsze strony. Malarz kontynuował:

- Otóż to: ty nigdy nie rozumiałeś istoty sztuki. Sztuka prawdziwa, a nie takie intelektualne kombinacyjki dla efektu i sławy. To jest coś, co trzyma artystę w łapach, a nie on trzyma to. Tej prostej rzeczy nie rozumiesz. I ja, który wyję teraz za dawnym życiem...

I tu trzasł w nim balon przeróżnych, od lat nagromadzonych nieczystości i występków. Chlusnął to wszystko brudnym kubłem w przerażoną i biedną mordeczkę Izydora. Marcel mówił już teraz spokojnie i jadowniczo. Odmierzał każde słowo i każde quantum jadu moralnego, którym chciał zniszczyć przeciwnika. Ale był to spokój i miara – straszni oboje. Nie widział już teraz przyjaciela... Stała przed nim sama kurwa Sztuka, która żywiła się jego mózgiem. Piła go jako zawiesinę w jakiejś swojego pomysłu infernalnej lemoniadzie.

- To wszystko mówisz – cedził powoli – aby usprawiedliwić twoją niekaralną, niestety, zbrodniczość duchową. Na to nie ma paragrafów, a to są zbrodnie wcale nie gorsze od innych... A ja wolę takie! – krzyknął nagle. Chwycił duży finlandzki puginał ze stołu i wbił go po rękojeść w przyjaciela.

Suffretka rzuciła się ku Izydorowi z piekielnym krzykiem. Na tle tego krzyku zatrzasnęły się z hukiem drzwi.

Wszystko weszło w ten sposób w zupełnie nową fazę, w zupełnie nowy wymiar.



7 Zniknięcie

Puczymorda wpatrywał się w twarz Olgierda. Bębnił przy tym rytmicznie grubymi paluchami o blat dębowego biurka.

- I co dalej?

- Nie wiemy, Panie Prezesie... Nasi agenci weszli do pracowni dopiero o trzeciej nad ranem. Zastali tam tylko Suffretkę Nunenberg w stanie totalnego załamania nerwowego. Klęczała w kałuży krwi. Wyniki analizy przeprowadzonej przez laboratorium kryminalistyki potwierdziło, że była to krew Smogrzewicza. Jego ciała jednak nie odnaleziono.

- Jak to? Izydor tak po prostu zniknął?!!

- Ależ Prezes się nie denerwuje! Znajdziemy go.

- Jak ja mam się nie denerwować?! Miałem o was lepszą opinię... Okey, nie miałem, ale może mógłbym mieć? Czy wy sobie chociaż zdajecie sprawę z powagi sytuacji?! SzeF Wydziału Analiz Strategicznych Pe-Zet-Pepu znika na tydzień przed Wielkim Sejmem. Miał wygłosić referat o nowej strategii Królestwa wobec ofensywy Kalifatu i podboju Syberii przez Cesarstwo.

- Errr... A co to za strategia?

- Ha, w tym cała rzecz! Nikt nie ma najmniejszego pojęcia... Smogrzewicz osobiście przedstawił projekt miłościwie nam Panującemu. Król przyjął go kilka tygodni temu na prywatnej audiencji. Ich rozmowa przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Nikt nie wie o czym dyskutowali. Następnego dnia wydano dekret o zwołaniu Wielkiego Sejmu. Całe Królestwo oczekuje na przełomowe decyzje, a ich autor znika! Wyślijcie swoich najlepszych agentów do jego domu. Niech przetrząsną każdy kąt! Może zachowały się jakieś notatki? To nie jest najważniejsze zadanie Urzędu. To jest teraz JEDYNE zadanie Urzędu! Na co jeszcze czekacie?!!!

Ostatni wykrzyknik złał się z hukiem drzwi zatraskujących się za SzeFem Urzędu Wewnętrznej Informacji. Stukot czarnych lakierok na schodach wyraźnie świadczył, że Olgierd świetnie zdawał sobie sprawę z ogromnej wagi problemu. Prezes wiedział, że kniaź stanie na głowie, aby ten problem rozwiązać lub przynajmniej zrzucić jego ciężar na kogoś innego...

8 Mówcie mi bocian

Świt powoli wyłaniał się z porannych oparów unoszących się nad piaszczystym brzegiem Wisły. Olbrzymia postać tkwiła wśród nich samotnie.

Rudoblond kędziory falowały zwichrzone nad trochę zabagnionym czołem mędrca. Błękitne oczy błyszczały jak odbłask nieba we wstrętnej, gliniastej kałuży. Usta były skrzywione czysto jaźniowym bólem, bez cienia ziemskich niepokojów. Nawet nie drgnęły, kiedy z mgły wytoczyła się czarna limuzyna. Dwie małe, niebiesko-biało-czerwone flagi smętnie zwisały nad przednimi reflektorami. Ze środka pojazdu wyszli mężczyźni ubrani w czarne, wełniane płaszcze.

Zaczęli zbliżać się do samotnej postaci.

Przypadek i Przeznaczenie siedzieli już wygodnie obok Wernyhory na konarze pobliskiego klonu. Z zaciekawieniem przyglądali się tym, którzy ośmielili się im rzucić wyzwanie dzisiejszego poranka.

- *Bonjour!*

- A dzień dobry żabojadzie... Bo dla mnie każdy dzień jest dobry, aby z gadów takich jak ty oczyścić świat. Mówcie mi bocian.

- *Monsieur cigogne...*

- Tylko bez wyzwisk, bo jam jest polski szlachcic herbu Krwawy Buć!

- Wy Polacy to zawsze się honorem unosicie...

- Bo mamy zasady!

- A my mamy pieniądze...

- I rzeźączkę. Nie chce mi się z wami gadać. Mój pistolet przemówi za mnie!

Sekundanci zabrali się za odmierzenie wzdłuż brzegu Wisły odległości dwunastu metrów pomiędzy pojedynkującymi się. Zgodnie z „Polskim Kodeksem Honorowym” autorstwa Władysława Boziewicza teren był odpowiednio płaski, choć może nieco odrobinę zbyt grząski. Miał to być pojedynek ze stałymi stanowiskami z dowolnym porządkiem strażów. Postanowiono toczyć go aż do całkowitej niezdolności pojedynkowej. Niezdolność tę miał orzec doświadczony chirurg, doktor Chędzior.



Kizior dostarczył dwie identyczne sztuki znakomitych pistoletów pojedynkowych Williama Parkera. Baronowi Quadratitusowi de Rompiers jako obrażającemu przysługiwało prawo wyboru egzemplarza. Francuz długo ważył w ręku oba pistolety. A było co ważyć, bo każdy Parker of London to 1,1 kg kunsztu rusznikarskiego.

W końcu zdecydował się na jeden z nich. I jak to było w jego zwyczaju wybrał źle...

Baron był typowym przykładem zdegenerowanych, francuskich elit politycznych. Quadratitus (jak w większości absolwentów *École Nationale d'Administration* w Strasburgu) był głęboko przekonany o wyższości Republiki (a przez to i swojej) nad resztą świata.

Duchowi spadkobiercy bojowników rewolucji maja 1968 roku sami stali się filarami zbiurokratyzowanego systemu. Lud się jednak zmieniał. Nowym elitom łatwo było ignorować narastające różnice. Wszyscy ludzie są przecież sobie równi, jeśli tylko patrzy się na nich z wieży Eiffla. Kierowali Francją pod hasłami wolności, równości i braterstwa. Wyłącznie wolności, równości i braterstwa grupy trzymającej władzę. Konflikt był więc nieunikniony. Nikt nie gnębi ludu tak, jak strażnicy jego wolności.

Francuzi mieli przed sobą ogromny problem. Społeczeństwo robiło się coraz starsze. A ludzie starsi są z natury bardziej konserwatywni. Dorobili się już czegoś w życiu i nie chcą się tym dzielić w zamian za jałmużnę od państwa. Kurczyło się społeczne zaplecze lewaków, zawsze chętnych do rozdawania publicznych pieniędzy.

Otworzono szeroko bramy kraju dla biednych przybyszów o wysokiej stopie dzietności. Zapewniono im nędzny socjal. Mieli być rdzeniem „żelaznego elektoratu” socjalistów. Prawdziwa asymilacja imigrantów nie była częścią tego planu. Przecież gdyby przyjęli oni lokalne wzorce to sami stali by się z czasem zwolennikami partii konserwatywnych... Pozostawiono ich samym sobie, kolorowej telewizji i opiece społecznej.

Pierwsze pokolenie imigrantów było jeszcze względnie zadowolone z tej sytuacji. Wystarczało im, że nie musieli suszyć wielbłądzich placków, aby mieć się czym ogrzewać w czasie pustynnych nocy. Ich dzieciom to już nie wystarczało. Bolesnie zderzyły się ze szklanym sufitem. Bieda, bezrobocie, brak szansy na awans społeczny, arogancja władzy i brutalność policji upokarzały.

Stos był już gotowy. Brakowało tylko iskry żeby zapłonął.

Zaiskrzyło w czwartek 27 października 2005 roku. Piętnastolatek Bouna Traoré pochodzący z Tunezji i siedemnastoletni Zyed Benna urodzony w Mali grali w piłkę na stadionie w miasteczku Livry-Gargan. Około siedemnastej razem z Muhittin'em Altun'em pochodzenia kurdyjskiego (lat 17) opuścili stadion, aby zdążyć do domu w Clichy-sous-Bois na wieczorną kolację. Byli wygłodniali, jak to w czasie Ramadanu. Wybrali drogę na skróty przez budowę. Ktoś widząc młodzieńców przechodzących przez zamknięty teren zgłosił włamanie. Policja rozpoczęła pościg. Chłopcy rozpoczęli ucieczkę.

Sforsowali 3-metrowy płot i ukryli się w 20.000-watowym transformatorze elektrycznym francuskiej firmy EDF. Policja oddaliła się z miejsca zdarzenia. Bouna i Zyed zostali śmiertelnie porażeni prądem. Poparzony Muhittin trafił w stanie ciężkim do szpitala.

Wieść o tej tragedii wzburzyła blokowiska w Clichy-sous-Bois. Gniewu i buntu narastającego od lat nikt nie mógł już dłużej tamować. Młodzież wyszła na ulice.

Przedmieścia Paryża 21 dni rozświeślały palące się samochody, autobusy i budynki. Zamieszki wkrótce rozszerzyły się ze stolicy na cały kraj: Avignon, Niceę, Cannes, Strasburg, Nantes, Rennes, Rouen, Lille, Tuluzę i Lyon. Władza nie rozumiała istoty problemu. A może nie chciała go rozwiązać? Za prezydentury Jacques'a Chirac'a, w rządzie Dominique'a de Villepin'a, ministrem spraw wewnętrznych był Nicolas Sarkozy. „Sarko” (sam będąc synem Węgry i Francuzki pochodzenia żydowskiego) prowadził restrykcyjną politykę imigracyjną. Uczestników zamieszek nazwał „hołotą”, a podżegaczy do zamieszek „kanaliami”. Policja siłowo przywróciła porządek. Minister zdobył ksywkę „Szeryf” i zasłynął stwierdzeniem, że szlauchem wypłukał ze slumsów szumowiny. Otworzyły się przed nim drzwi do kariery. Sarkozy został prezydentem 6 maja 2007 roku.

Kolejne zamieszki wybuchły w lipcu 2010 roku na przedmieściach Grenoble. 27-letni Karim Boudouda, recydywista pochodzący z Algierii schronił się w tutejszym imigranckim osiedlu. Tym razem uciekał po obrabowaniu kasyna w Uriage-les-Bains. W Grenoble Boudouda został okrążony w obławie policyjnej. Zginął tam trafiony kulą w głowę.

Tym razem zamieszki trwały tylko 3 dni i nie rozprzestrzeniły się poza Grenoble.

Symbolem arogancji prezydentury „Sarko” pozostało jego zdanie z 2008 roku: *Casse-toi pauv'con* (spadaj palancie), które wypowiedział do mężczyzny, który nie chciał podać mu ręki w czasie targów rolniczych w Paryżu. Do dziś można obejrzeć sobie ten film, bo Internet nie zapomina o niczym...

A sfrustrowana, bezrobotna młodzież trafiła do więzień. Nastąpiła cisza przed burzą.

Dla setek zatrzymanych więzienia były jak uniwersytety. Tam się hartowali, dojrzewali i planowali. Rodził się nowy, miejski etos. Wyszli na wolność otoczeni legendą. Stworzyli sieć, która połączyła południe zachodniej Europy i północną Afrykę. Młodzieńcy z ubogich przedmieść odnaleźli cel w życiu. Byli wszędzie tam, gdzie wiał wiatr zmian. Stali na barykadach Arabskiej Wiosny, która na przełomie 2010 i 2011 roku doprowadziła do upadku kilku bliskowschodnich dyktatur. Tradycyjnemu, lokalnemu oporowi przeciw despotycznym rządów skorumpowanych kacyków nadali świeży, internacjonalistyczny wymiar.

Dyktatorzy na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej od dekad kreowali w mediach wizerunek swoich reżimów jako stabilnych, umiarkowanych i dążących do nowoczesności. Zachód nie dostrzegał nadchodzącej burzy. Bankowi Światowemu i Unii Europejskiej wystarczały rosnące stopy wzrostu gospodarczego.

Oni zaś jednak znali prawdziwe oblicze codzienności. Wiedzieli, że stopa bezrobocia wśród zwiększającej się liczby młodych ludzi rosła szybciej niż produkt krajowy brutto. A lista regionalnych problemów była jeszcze dłuższa: analfabetyzm, niskie dochody wielu ludzi pozbawionych ubezpieczeń socjalnych, korupcja i demoralizacja władzy, powierzchowność reform gospodarczych, brak długoterminowych inwestycji generujących efektywne zatrudnienie i dotkliwa kilkuletnia susza.

Stos był gotowy. Zaiskrzyło w Tunezji 17 grudnia 2010 roku. Poniżono Mohameda Bouazizi i skonfiskowano towary, którymi handlował. 26-latek dokonał w proteście aktu samospalenia. Zainspirował miliony. Masowe protesty doprowadziły do obalenia reżimów Zin El Abidin Ben Alego w Tunezji, Hosniego Mubaraką w Egipcie, Muammara Kaddafiego w Libii i Alego Abd Allaha Salaha w Jemenie. Syria pogrążyła się w wojnie domowej. W wielu innych krajach przeprowadzono istotne reformy społeczne, polityczne i gospodarcze.

Oni zaś, po sukcesach na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej, systematycznie wracali do rodzimych dzielnic aby zregenerować siły, leczyć rany, zbierać środki,

opracowywać nowe projekty i rekrutować nowych ludzi dla SPRAWY. Rekrutacja była szczególnym wyzwaniem. Kandydatów nie brakowało. Przyciągali młodych ludzi jak magnes. Problemem było odsianie informatorów podsyłanych przez policję i służby specjalne. Oparto się na sprawdzonych europejskich wzorcach wypracowanych przez IRA. Działano w oparciu o małe komórki po 3-4 osoby. Rekrutowano wyłącznie „swoich”: bliskich członków rodzin i kumpli z podwórka. Rodziny rekrutów za ich oddanie SPRAWIE musiały ręczyć własnym życiem i zdrowiem. Nie akceptowano żadnych, fenomenalnych kandydatów, którzy pojawiali się znikąd.

Najbardziej zaufani, oddani i zdolni kandydaci trafiali do reaktywowanej twierdzy Alamut. Przechodzili ekstremalne szkolenie pod czujnym okiem Starca z Gór. Absolwenci, którzy je przetrwali, byli gotowi na konfrontację z operatorami sił specjalnych najlepszych formacji świata. Formacje te nie były jednak przygotowane na konfrontację z nimi...

Francja Emmanuela Macrona świętowała setną rocznicę pierwszej wojny światowej w świetle reflektorów i przy dźwiękach *Marsylianki*. Oni też tam byli. Stanęli na *Place de la République* w niedzielne popołudnie 22 listopada 2018 roku. Zakapturzeni, ubrani na czarno i z zasłoniętymi twarzami. Nikt nie słuchał ich wymownego milczenia...

Tymczasem na łące przystąpiono już do pojedynku. Przeciwnicy ustawili się na wyznaczonych im stanowiskach. Kierujący starciem wydał komendę:

- Gotuj!

Baron natychmiast podniósł swoją broń. Odciągnął kurek. Mierzył uważnie. Podmuch wiatru oderwał duży, złocisty liść od gałęzi klonu.

- Pal!

Quadratitus pierwszy nacisnął spust. Huk wystrzału przeszył powietrze. Metalowa kula trafiła w sam środek piersi szlachcica. Ten zatoczył się i runął na kolana. Głowa opadła mu na piersi. Wredny uśmiech wpełzł na usta Francuza. Baron de Rompieres podniósł swój pistolet do ust i nonszalancko zdmuchnął unoszący się z lufy dym. Tryumfalnym wzrokiem powiódł po stojących z boku sekundantach. Liść zakręcił ostatnie salto i z gracją opadł na ziemię.

- *Voilà, c'est fini, ne c'est pas?*

Ale to wcale nie był koniec! Polak podniósł powoli głowę. Pomiędzy gęstymi kędziorami jego oczy zabłyśły czystym, zimnym blaskiem.

- *Grenouille*, będzie skończone dopiero jak ja z tobą skończę.

Prawa dłoń szlachcica mechanicznie, bez najmniejszego drżenia podniosła pistolet do góry. Oko lufy zajrzało w źrenicę Quadratitusa. Twarz barona zsiniała w ułamku sekundy.

- *Mais cela... C'est vraiment impossible!!!*

Huk wystrzału przeszył powietrze. Ręka trzymająca pistolet opadła. Ciało Kiziora przechyliło się do tyłu i runęło z głośnym pluskiem do rzeki. Francuz zaś stał nieruchomo. Zdawało się, że będzie stał tak wieki całe. Po chwili jednak grawitacja przypomniała sobie o swoich obowiązkach i upomniała się o niego.

Baron powoli osunął się w podmokłą trawę. Jego przestrzelony oczodół przypominał zastygający wulkan. Kałuża karmazynowej krwi zmieszanej z płynem mózgowym rozlewała się pod źdźbłami pokrytymi rosą. Sekundanci bez słowa wymienili między sobą przerażone spojrzenia. Natychmiast rzucili się w kierunku nieruchomego ciała francuskiego ambasadora.

Doktor Chędzior tylko wzruszył ramionami. Był doświadczonym chirurgiem. Nie był to pierwszy pojedynek, przy którym asystował. Na wszelką pomoc było za późno. W tej sytuacji jedyną racjonalną czynnością medyczną mogło być tylko stwierdzenie zgonu. A sekundanci zamiast babrać się w zakrwawionym błocie powinni raczej spisać protokół odbytego pojedynku.

Dygnitarz leżał martwy. Pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni...

Ciało Marcelego Kiziora-Bucewicza powoli odpływało z miejsca pojedynku delikatnie kołysane falami. Wchłonęła je gęsta mgła unosząca się nad mętным nurtem rzeki.



9 Brazylijska przesyłka

Gnębon Puczymorda, prezes P.Z.Pepu spojrział na stojącego przed nim gościa. Śniadolicy chudzielec w prążkowanym garniturze nie wzbudzał sympatii na pierwszy rzut oka. Na drugi rzut zresztą też nie... Latynos ułożył swoje wąskie usta w wyćwiczony uśmiech nad gustownie dobranym krawatem. Usilnie starał się sprawić wrażenie opanowanego i kontrolującego sytuację. Puczymorda dobrze znał ten typ ludzi. Dla takich jak on otaczający świat składał się z tyłków ludzi stojących nad nimi, które należało lizać, i pozostałych tyłków, które można było kopać bez żadnych ograniczeń.

Prezes postanowił sprawdzić grubość skorupy gościa. Zapalił fajkę i dmuchnął korzennym dymem w twarz portugalskiego ambasadora. Przymknął oczy i przez chwilę rozkoszował się dymem wypełniającym mu płuca. Raka trzeba karmić.

Nie musiał czekać długo. Już po chwili powieki padalca zaczęły nerwowo mrugać, a palce nieznacznie, acz zauważalnie, zadrżały... Cienias, ale czego można się spodziewać po filateliście? Czyż prawdziwy mężczyzna mógłby się podniecać czymś tak płaskim i lepkiem jednocześnie? Skurcz satysfakcji przetoczył się pod zwałami tłuszczu. Gnębon postanowił nie marnować dłużej swego cennego czasu. Grunt pod wyrafinowane negocjacje dyplomatyczne był już przygotowany. Nadszedł czas na wyszukane otwarcie.

- Hm... Czego?

- Szanowny Pan Prezes pozwoli, że się przedstawię: Pedro Lebre, ambasador Portugalii.

- Wiem, kim pan jest: dygnitarzem kraju, który latami ściągał do niewolniczej pracy tanią siłę roboczą z Afryki. Potomkowie tych imigrantów opanowali zasady demokracji i zaczynają wam urządzić kraj po swojemu. Bez brazylijskiej protekcji pański kram przy ulicy Ateńskiej 37 na Saskiej Kępie już dawno przejąłby komornik. Do rzeczy: czego?

- Chciałbym zapytać, czy znane ze swojej szczodroblewości Królestwo nie pochyliłoby się nad losem moich rodaków i nie przygarnęłoby ich pod swoją gościnną strzechę? Nie prosimy o wiele... Wystarczyłby jakiś powiat lub nieduże miasto...

- Hm... Nasza polityka wobec imigrantów jest jasna: żadnych gett. Źle się nam kojarzą. Królestwo przyjmuje tylko pełne rodziny o potwierdzonym kraju pochodzenia, by było ich w razie czego gdzie odesłać. Wyniki badań genetycznych muszą potwierdzić, że członków rodziny łączą więzy krwi, a nie tylko chęć wspólnego przedostania się przez kontrolę na granicy. Familia dostaje przydział tam, gdzie przynajmniej jednej osobie możemy zapewnić pracę. I nie więcej niż jedna rodzina z danej narodowości na parafię. Ponadto łączna liczba imigrantów nie może przewyższać 20% lokalnych mieszkańców. Każda rodzina utrzymuje się z zarobków jej członków. Żadnych ekstra zasiłków i specjalnych zapomóg ponad poziom przysługujący naszym obywatelom. Jedynie nauka lokalnego języka jest bezpłatna, ale i obowiązkowa. Zwłaszcza kobiety w wieku powyżej 9 lat muszą umieć pisać, czytać i liczyć. To najlepszy test odsiewający oszołomów. Tymczasowe obywatelstwo przyznajemy tylko na 3 lata. Potem następuje prosta weryfikacja: lokalna społeczność w anonimowym głosowaniu albo zgadza się na ich pozostanie, albo są deportowani do kraju pochodzenia. Mogą też wybrać wyjazd do Etiopii lub Erytrei z drobnym kieszonkowym w portfelu. Portfel ten wprawdzie czyszczą im jeszcze na miejscowym lotnisku, ale wolność ma swoją cenę. A skoro już poruszamy ten jakże interesujący wątek, to cóż pan ambasador proponuje w zamian za przyjęcie swoich rodaków do Królestwa?

- Ależ oczywiście naszą dozągonną wdzięczność!

- Waszą wdzięcznością nie napelnę baków naszych czołgów... Jakież konkretne propozycje?

- Mam wiadomość od Nauczyciela...

- A cóż to ma mi do przekazania William da Silva Lima?

- Przepraszam najmocniej, ale naprawdę nie wiem... Poproszono mnie tylko o przekazanie tej paczki do rąk własnych szanownego pana Prezesa.

- I ja mam uwierzyć, że nie otworzył pan tej przesyłki?

Ambasador nerwowo przełknął ślinę. Grdyka przesunęła się wyraźnie do przodu nadając twarzy Latynosa wyjątkowo szpetny wygląd.

- Niech Prezes tak nawet nie żartuje! Nikt poza adresatem nie otwiera przesyłek od szefa *Comando Vermelho*.

Gnębón splótł swoje palce i zamyślił się. Największy kraj Ameryki Południowej pogrążony był w konflikcie ze swoimi hiszpańskojęzycznymi sąsiadami. Sytuacja w favelach *Morro da Mineira* była niezwykle ciężka. Jaki interes miał do ubicia najstarszy i najpotężniejszy kartel narkotykowy Rio de Janeiro? Nie była to w końcu jakaś przypadkowa banda. Ich uniwersytetem było więzienie *Cândido Mendes* na *Ilha Grande*. To tam zwykli kryminaliści wiele się nauczyli od partyzantów z Armii Wyzwolenia Narodowego walczących z wojskową dyktaturą generała Ernesta Geisel'a. Nauczyciel uciekł z więzienia na wyspie i powrócił do faveli w 1980 roku. Były rabuś bankowy przekształcił *Comando Vermelho* w rewolucyjny ruch wyzwolenia Brazylii.

- No już dobrze, dobrze... - Prezes uspokajał roztrzęsionego Portugalczyka, który wyglądał jakby miał zaraz narobić w gacie. A może już narobił? Smrodku niby czuć nie było, ale może Latynos nosił obcisłe majtasy...

Ambasador opuścił gabinet. Pedro Lebre nie liczył na zbyt wiele. Puczymorda był wytrawnym graczem, a on nie miał żadnych kart w rękawie. Cała jego nadzieja spoczywała w owej tajemniczej przesyłce od Nauczyciela z Brazylii. Cóż jednak mógł zaoferować szef *Commando Vermelho* Prezesowi Pe-Zet-Pepu, szarej eminencji Królestwa?

Dopiero wieczorem okazało się, że prawdziwa wartość tej małej paczki była dużo większa niż przypuszczał. Portugalczyk nie zdążył nawet napić się swojej herbaty z korzenia indyjskiej ashwagandhy, kiedy do drzwi zastukali nieproszeni goście.

Oni naprawdę chcieli dowiedzieć się, co było w tej przesyłce z Brazylii. Pedro zrozumiał to zwisając zaczepiony nogami o żyrandol w swoim własnym salonie. Ponadto uświadomił sobie, że źle dobrał kosmetyki. Torturujący go osobnicy chcieli go tylko nieco postraszyć przypalając mu rzęsy. Niestety jego żel do włosów okazał się bardzo łatwopalny...



Prezes wolno obracał w palcach swoje ulubione pióro. Olgierd siedział po drugiej stronie jego biurka i niespokojnie czekał na początek rozmowy. Książ potrafił wyczuwać kierunek myślociągu szefa z pierwszych jego słów. Gnębion nie miał w zwyczaju owijać gówna w bawełnę. Walił prosto z mostu jak lokomotywa nadrabiająca spóźnienie przyśpieszając na zakrętach. Nie inaczej było i tym razem.

- List dostałem z Brazylii. Trochę to trwało, bo czasy teraz nie sprzyjają komunikacji przez Atlantyck... Nauczyciel prosi nas o wpuszczenie do Królestwa tych chrześcijańskich nieszczęśników, którzy przetrwali czystki w Portugalii.

- Nie oni jedni szukają bezpiecznej przystani w tych niespokojnych czasach...

- Skłonny jestem się pochylić nad tą prośbą. Wielu ich nie ma. A to porządny, katolicki naród. Dobrzy marynarze i w piłkę potrafią kopać. Tylko jak się oni przyzwyczają do naszych zim?

- Pan Prezes się o nich nie martwi. Założą dwie czapki na głowę i jakoś to będzie. Gazet sobie napchają w spodnie. Ale co my z tego będziemy mieć?

- Każda para chrześcijańskich rąk do pracy i walki jest teraz na wagę złota. To raz. Wdzięczność Brazylii to dwa. Wstrzymanie dostaw brazylijskich narkotyków Królestwa to trzy. A ponadto, jako znak dobrej woli, otrzymałem kopię dorobku Carlosa MUÑOZ FERRADY.

- A kto to taki ten Muñoz Ferrada?

- To chilijski astronom, który zmarł w 2001 roku.

- Astronom? A co nam po wypocinach jakiegoś dziadka? Nic nie rozumiem...

- Czyli wszystko w normie – zarechotał złośliwie Prezes. – Carlos jako pierwszy współczesny astronom wspomniał o Hercolubus'ie inaczej zwanym planetą X lub Nibiru. I to już w 1940 roku! W wyniku swoich wieloletnich badań obliczył, kiedy możemy się tego badziewia spodziewać w naszym układzie słonecznym. Jak do tej pory wszystkie jego ustalenia się sprawdzają. Przeprowadzone przez niego obserwacje są już dzisiaj nie do powtórzenia. Nie mamy przecież wehikułu czasu. Przez dekady obserwował, zbierał dane i analizował perturbacje na obrzeżach naszego układu słonecznego. Latami oficjalny nurt astronomii go ignorował. A teraz nawet NASA przyznaje, że coś tam jest! Jeśli nasi naukowcy potwierdzą wnioski Muñoz Ferrady to czekają nas zmiany... wręcz kosmiczne...

10 Trefny walet

Ciałem Izydora wstrząsnęła gwałtowna konwulsja. Koc osunął się na podłogę. Rustalka i Nadrazil jednocześnie sięgnęli, aby go podnieść. Zetknęli się ze sobą. Jej delikatne palce wiolonczelistki spoczęły na jego ręce. Smugi światła odbijały się od paznokci, które wyglądały jakby pokryte były cienką warstwą świeżej krwi. Nie spłoszyła się. Jej palce powoli zginały się w łuki pozostawiając białe smugi na wierzchu jego szerokiej dłoni. Lekko rozchyliła wilgotne usta... *Um...* Pamiętał ten dźwięk. Poczł mrowienie na karku. Podniósł głowę i spojrzał głęboko w jej oczy. Zmrużyła powieki. Punktochwila trwała wibrując emocjami, które ich niegdyś łączyły.

Lewą rękę wyciągnął w jej kierunku. Wyciągnęła z włosów długą szpilkę. Lekko potrząsnęła głową. Elegancki kok rozsypał się falą lnianych loków na jej kark i ramiona. Dłoń wsunął pomiędzy jasne pasma. Delikatnie wygięła szyję. Jego palce zatoczyły koło chwytając jej włosy zaraz przy skórze. Powoli przyciągnął jej twarz do swojej twarzy. Przymknął oczy. Głęboko wciągnął powietrze przesycone jej intensywnym zapachem. Przestrzeń między ich ustami zaiskrzyła, zadrżała i wypełniła się tym szczególnym przyciąganiem, któremu nie mógł się oprzeć. Niegdyś.

Nadrazil rozprostował swoje palce. Kosmyki jej włosów powoli wysuwały się spomiędzy nich jak woda płynąca wśród skał górskiego strumienia. Głowa Rustalki odsuwała się od niego powoli. Temperatura w wagonie obniżyła się o kilka stopni.

- To nie jest potrzebne.

- Co?

- To, co chciałaś zrobić... Nie zostawię was. Jeśli dorwą Izydora to usuną też wszystkich świadków.

- Zawsze możesz nas jeszcze im wydać...

- Mogłem to zrobić wczoraj. Zanim jeszcze wsiedliśmy do pociągu. Dziś jest już na to za późno. O wiele za późno. Wybrałem swoją stronę barykady.

- Słuszną?

- O tym zadecyduje los...

- Los jest ślepy, Herr Nadrazil – cierpko zauważyła Rustalka.

- Madame, ja byłbym szczęśliwy, gdyby los był po prostu ślepy. Mógłbym wtedy liczyć na jego bezstronność i brak orientacji w terenie. Nasz los ma niestety oczy dookoła głowy i gra znaczonymi kartami.

- W takim razie jaki jest twój plan ocalenia? Na co liczysz?

- To nie mój plan, tylko Izydora. Gramy tu o wielką stawkę. Na początek spróbujemy podmienić ich talię kart na naszą. Zaczniemy od wyeliminowania trefnego waleta.

Jej usta zwały się w szybko blednącą kreskę.

- Waleta trefl? Tego solistę spod ciemnej gwiazdy, który powieli liczbę krzyży na pięciolinii życia?

- Jeżeli nas namierzili, to powinien już wkrótce włączyć się do gry.

- I co się wtedy stanie? Kiedy on już nas znajdzie?

- Kroczymy ścieżką tak wąską, że nie ma na niej miejsca na wymijanie. Ktoś spadnie w przepaść. Tylko jedna strona będzie kontynuować swą życiową podróż.

- Zabijesz go?

- Będę próbował. On też będzie próbował...

- Nie zawahasz się? Nie zadrzy ci ręka? Jego mocodawcy mogą się mścić...

- Nie sądzę. On jest jak psia kupa. A przecież nawet właściciele, którzy nie sprzątają odchodów swoich pupili, nie lubią w nie wdeptywać. Wszyscy unikają smrodu. Nikt się za nim nie ujmie. Może tylko Syndykat się zmartwi, bo będzie trzeba spisać na straty zaliczkę i zapłacić kolejnemu egzekutorowi. Oni nie lubią płacić 2 razy za tę samą robotę. Jeżeli się tak nad tym zastanowię, to Syndykat w ogóle nie lubi płacić innym... Jeśliby te sprawy od nich zależały, to jedynymi formami zatrudnienia byłyby przymusowy wolontariat i bezpłatne, dożywotnie staże. Na szczęście ich akurat można zazwyczaj przekupić. O tak, Syndykat lubi jak mu się płaci...

Nadrazil potarł czoło lewą dłonią. Na serdecznym palcu zabłysnął tytanowy pierścień Atlantów z „Atlantydy”. Nie wierzył w jego ochronną moc. Wystarczało mu, że efektownie wygląda i świetnie sprawdza się przy otwieraniu butelek z piwem. Przyczyniał się też do tworzenia otaczającej go legendy człowieka, który wie i może więcej...

Drzwi pomiędzy wagonami otworzyły się. Głośny stukot momentalnie wdarł się do środka, aby już po chwili powrócić do roli monotonnego tła dźwiękowego. Ktoś wszedł na wąski korytarz. Nadrazil z niepokojem wsłuchiwał się w stukanie podkutych butów. Wyrżał ostrożnie. Widok starszego konduktora nieco go uspokoił.

- Madame Rustalko, proszę przykryć Izydora kocem, aby nie było widać bandaży!

Po chwili konduktor stanął w drzwiach ich przedziału.

- Dzień dobry szanownemu państwu! Bileciki do kontroli...

- Ależ proszę bardzo, oto nasze bilety. Kolega śpi. Odsypia noc poślubną... A jak tam w pociągu, spokojnie? Jacyś ciekawi pasażerowie? – zapytał niewinnie Nadrazil podkreślając swoje zainteresowanie banknotem dyskretnie podtrzymującym bilety.

Nominał tegoż banknotu zainspirował kolejarza do szczerzej i obszernej odpowiedzi. Szczegółowo opisał wszystkich podróżnych i jadłospis w wagonie restauracyjnym. Nadrazila zainteresował zwłaszcza mężczyzna, który od początku podróży siedział w toalecie siódmego wagonu. Ze środka tejże toalety dobiegały od czasu do czasu dziwne dźwięki.

- Panie konduktorze, jestem doktorem. Podejdę tam i sprawdzę, czy ta osoba nie potrzebuje medycznej pomocy.

- To bardzo uprzejme z pana strony. Mam tam pójść z panem doktorem?

- Myślę, że sam sobie z tym jakoś poradzę. Nie będę odciągał pana od jego pracy. Wypełniam tylko swój chrześcijański i zawodowy obowiązek. Przygotuję jeszcze tylko swój stetoskop...

Konduktor zasalutował służbowo prawą ręką. Lewa ręka była zajęta wsuwaniem do kieszeni spodni przyjemnie szeleszczącego banknotu. Już po chwili dźwięk turkotu kół pociągu obwieścił przejście kolejarza do kolejnego wagonu. Nadrazil wstał i rozprostował swe potężne ciało. Sprawdził liczbę naboju w swoim „stetoskopie” i dokręcił do niego tłumik.

- Sprawdzę tylko stan tego pana z biegunką...

- Ależ ty nie jesteś doktorem!

- Ależ ja jak najbardziej jestem doktorem, ale akurat nie nauk medycznych ☺

Nadrazil zdecydowanie zapukał w drzwi toalety siódmego wagonu. Coś brzdękło w środku. Konduktor mówił prawdę o tych dziwnych dźwiękach...

- Zajęte!!! – wycharczał ktoś ze środka.

Nadrazil znał ten głos aż za dobrze. Nie wahał się więc nawet przez ułamek sekundy. Potężnym kopniakiem wgniół drzwi do środka. Stalowa klamka zmiażdżyła nos siedzącego na sedesie faceta. Oszalały z bólu szarpnął głową do tyłu rozbijając brudne lustro.

- Czeka cię 7 lat nieszczęść Tępniaak...

- Uyył?! – zbulgotał muzyk.

- Myślę jednak, że byłoby to niehumanitarne abyś się aż tak długo męczył... – dodał bez emocji Nadrazil. Oddał strzał w sam środek splecionych struną dłoni. Krople krwi, niczym poranna rosa zaiskrzyły na stalowej pajęczynie. Pomimo przejmującego bólu Tępniaak rzucił się na Nadrazila. Celne uderzenie kolby pistoletu w głowę zatrzymało go w miejscu. Jęknął żałościwie, zamrugał i opadł na kolana w kałużę krwi. Jego ciałem wstrząsnęła gwałtowna konwulsja. Nadrazil w ostatnim momencie uchylił się przed strugą wymiocin. Dwie kałuże rozpoczęły powolny proces łączenia się w cuchnącą breję.

- Krwista czerwień i wiosenna zieleń z niebieskimi pasmami upstrzonymi glutami słonecznej żółci... Coś ty żarł? Fantastyczna kombinacja barw. Kizior byłby z ciebie dumny, nie ma co!

Nadrazil otworzył drzwi wagonu i bezceremonialnie wyrzucił Tępniaaka z pociągu. Zdjął z haka prochowiec wciąż wiszący w toalecie. Starł nim interesująco zarysowujący się kształt o ciekawej fakturze. Cisnął go w ślad za właścicielem. W końcu noce bywają już dość chłodne. Spokojnym krokiem wrócił do przedziału. W drzwiach czekała już na niego zdenerwowana Rustalka.

- Herr Nadrazil, i co z tym biedakiem cierpiącym na biegunkę?

- Madame Rustalko, po tylu godzinach w zamknięciu przekonałem go aby zaczerpnął trochę świeżego powietrza... To był nasz dobry znajomy: Romek Tępniaak–Cyferblatowicz. Trefny walet.

- Był? Aha... Czyli jesteśmy już bezpieczni! Ale na jak długo?

Monotonny turkot kół pociągu przerwał przytłumiony dźwięk melodii zapomnianej przez wszystkich piosenki zespołu Guns N' Roses *One in a million*. Nadrazil wstał i wyjął telefon ze swojej torby podróżnej. Przeczytał sms'a i zapisał ciąg cyfr w swoim notesie. Wyciągnął na stół mapę. Przyglądał się jej uważnie przez dłuższą chwilę. Coś tam sobie kalkulował. Sprawdził czas na swoim zegarku marki Błonie z limitowanej serii WX302 inspirowanej historią Dywizjonu 302. Zerknął na swoje obliczenia i odłożył mapę do skórzanej torby.

Wyciągnął z telefonu baterię i kartę SIM. Baterię wrzucił do śmietnika. Kartę położył na podłodze. Zmiażdżył ją kilkoma obrotami podkutej podeszwy. Telefon i resztki karty owinął grubą warstwą chusteczek higienicznych i włożył do plastikowego worka. Wyciągnął piersiówkę z wewnętrznej kieszeni marynarki. Pociągnął z niej tęgiego łyka. Jego ciałem wstrząsnął przyjemny dreszcz.

- Szkoda tej szlachetnej cieczy... – westchnął ciężko i wlał resztę alkoholu do worka. Chusteczki zabarwiły się na brązowo. Długi płomień z benzynowej zapalniczki Zippo ostrożnie polizał zawartość worka. Opary alkoholu zachęciły go do zajęcia się jego wnętrzem. Rustalka poczuła jak unoszący się dym zaczyna drażnić jej oczy. W tym momencie Nadrazil otworzył szeroko okno przedziału i zdecydowanym ruchem rzucił płonący pakunek daleko od torów.

- To był drogi telefon – zauważyła kobieta.

- Nasze bezpieczeństwo jest mi droższe. A poza tym ten telefon miał otrzymać tylko tę jedną wiadomość. Swoje zadanie już wykonał...

- To jakiś szyfr? – zapytała Rustalka przyglądając się cyfrom w otwartym notesie Nadrazila.

- Nie, to współrzędne geograficzne. Adres bezpiecznej przystani.

- A gdzie to jest? Jak się tam dostaniemy? Przecież wszystkie stacje kolejowe są już pewnie pod obserwacją.

- Słuszna uwaga. A teraz proszę się szybko spakować – powiedział Nadrazil i wyszedł sprężystym krokiem na korytarz.

Kobieta spojrzała przez okno. Jak okiem sięgnąć rozciągał się sosnowy las. Gdzieś tam głęboko, 35 metrów pod korzeniami otaczających ich drzew spoczywał korpus

statku z flotylli *Costerona*. Trwał tam już od wielu stuleci czekając na sygnał, który wciąż nie nadchodził.

Nie dostrzegła najmniejszego śladu ludzkiej aktywności. Znała jednak swojego towarzysza od dawna. Zawsze potrafił się wydostać z nawet najtrudniejszych tarapatów. I jeszcze przy tym zarobić. Bo z Nadrazilą była świnka biznesowa pierwszej klasy. Rustalka nie marnowała czasu na zbędne rozważania i wewnętrzne monologi. Wsunęła stopy do eleganckich butów i zgarnęła kilka drobiazgów ze stołu do swojej torebki.

Swoją drogą magiczna rzecz taka kobieca torebka. Wszystko w niej jest, ale nic w niej nie można znaleźć... Zupełnie jak z szafą na ciuchy: nic nie da się już do niej upchnąć, a mimo to nie ma się w co ubrać...

Nagle rozległ się przeraźliwy świst. Pociągiem szarpnęło gwałtownie. Rustalkę rzuciło na przeciwległą stronę. Wpadła na Izydora. Plama na bandażu oplatającym jego pierś zrobiła się czerwiejsza i większa. Żałosny jęk rannego zagłuszył jazgot hamującego pociągu. Do przedziału wtargnął Nadrazil. Zrzucił sobie przez plecy podróżną torbę. Owinął Izydora kocem i bez trudu dźwignął go w swoich potężnych ramionach. Ruszył do wyjścia rzucając tylko za siebie:

- Idziemy!

Wysiedli z wagonu i zanurzyli się w las. Przyczaili się w pobliskich krzakach leszczyny. Znany im już konduktor nerwowo obiegił pociąg aż dwa razy. Rozległ się donośny gwizd. Silnik lokomotywy wprowadził w ruch stalowe tłoki. Metalowa bestia ponownie ruszyła w trasę. Już po chwili zniknęła za zakrętem. Rustalka i Nadrazil odetchnęli. Poza nimi nikt nie opuścił pociągu. Po kilku minutach jedynym dźwiękiem dobiegającym ich uszu był szum iglastego lasu otaczającego ich ze wszystkich stron. Dzięcioł duży (*dendrocopos major*) kontynuował swój trud nadawania rytmu życiu puszczy.

- Herr Nadrazil, gdzie my jesteśmy?

- Madame... jakby to powiedzieć? To przystanek na żądanie ;)

11 Wszyscy jesteśmy owcami jednego Pasterza

Dwie przygarbione postacie powoli zbliżały się do ołtarza, na którym tliły się świece. Odgłos ich miarowych kroków roznosił się dźwięcznym echem po całej świątyni.

Postać Chrystusa Pantokratora zdobiła kopułę nad ich głowami. Siedział majestatycznie na niebieskim tronie. Otaczały Go postacie archaniołów: Michała, Gabriela, Rafała i Uriela. Niebiańscy wojownicy z szacunkiem wpatrywali się w Postać trzymającą Prawo. Tylko z trudem można było odczytać wyblakłe litery: *Ego sum lux mundi* (Ja jestem światłem tego świata). Twarz Jezusa nie wyrażała ani miłości, ani troski. Jego niebieskie oczy promieniowały obojętnym rozczarowaniem. Musiał Go wypełniać niewypowiedziany żal, że Jego ofiara nie powstrzymała całego zła tego świata. Człowiek nie zawrócił znad krawędzi zagłady. Podążał dalej swoimi grzesznymi ścieżkami.

Starcy bez słowa zatrzymali się przed wnęką wypełnioną figurą Maryi. Była tu przedstawiona jako Dziewica tuląca Syna do swojego policzka. Na Jego lewej dłoni siedział szczygieł. Spokojna, matczyzna miłość i ciepło promieniowały z rzeźby.

- Święta Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy...

- Amen...

Jeremiasz, Wikariusz Generalny Rzymu i Irydon, Patriarcha Moskwy w ciszy kontemplowali otaczające Matkę Boską figury dwunastu Apostołów. Dzięki prostocie formy emanowała z nich kosmiczna wręcz siła. W klasycznym, bizantyjskim ujęciu można ich było rozpoznać tylko dzięki towarzyszącym im symbolom.

- Zawsze zastanawiało mnie dlaczego Piotr otrzymał 2 klucze do Królestwa Niebieskiego... Czyż jeden klucz nie powinien w zupełności wystarczyć?

- Widocznie do nieba prowadzą dwie ścieżki i można do niego wkroczyć przez dwie bramy?

- Tak jak i nas jest tu dwóch spadkobierców dzieła Piotra.

- Coś w tym jest... Ciekawe, co by nam o tym powiedział brat Marcydor?

- Obawiam się, że niezbyt wiele. Brat Marcydor nie rozmawia z nikim. Bierze udział w mszach i modlitwach klasztoru, ale z innymi ludźmi komunikuje się głównie poprzez swoje ikony. Czasem pisze też krótkie wiadomości.

- Jakie to wiadomości? Jakies prorocze wizje? Natchnione wskazówki dla Kościoła?

Irydon pogładził się po siwej brodzie i uśmiechnął się frywolnie.

- Jego wiadomości są raczej mało mistyczne... To zawsze coś w rodzaju: potrzebuję niebieskiej farby, jesionowej deski lub nowego pędzla. I dlatego kompletnie wszystkich zaskoczyło jego żądanie aby przesłano jego ikonę do Glastonbury... Opat zakonu medytował nad tą prośbą przez miesiąc. Każdego ranka przed jego drzwiami stał brat Marcydor. Codziennie zadawał to samo pytanie: „Wysłano?” i powracał do swojej celi. Nie dziw się opatowi. W prawosławiu zarówno temat, jaki i sposób przedstawienia ikony jest rygorystycznie regulowany. Jak do tej pory brat Marcydor ściśle, acz błyskotliwie przestrzegał tych zasad. To była jego pierwsza taka ikona. Technika wykonania jest mistrzowsko klasyczna. Jednakże temat... Opat nie potrafił się do niego ani odnieść, ani zinterpretować. Na wszystkie pytania o znaczenie tej ikony i dlaczego miałyby zostać wysłana właśnie do Glastonbury mnich odpowiadał tym samym pytaniem: „Wysłano?”. Po czterdziestu dniach opat poddał się i przysłał ikonę do mnie. Opat to mój stary przyjaciel z czasów młodości. Ale i tak ledwo co przeczytałem jego list i rzuciłem okiem na tę ikonę. Była pięknie wykonana, ale nie pasowała do oficjalnego kanonu pisania ikon. Zawisła więc w korytarzu mojego apartamentu. Wiele razy zatrzymywałem się przed nią i próbowałem zgłębić jej znaczenie. Aż pewnego dnia dotarła do mnie wiadomość, że Watykan został zniszczony, a ci, którzy przetrwali zagładę zebrali się w opactwie Glastonbury. Następnego dnia otrzymałem list od opata z jednym tylko słowem: „Wysłano?”. Od razu zrozumiałem znaczenie tej ikony i do kogo mam ją wysłać! Jej kopię noszę zawsze przy sobie. Patriarcha sięgnął do kieszeni i postawił niewielki kawałek deski na ołtarzu u stóp Najświętszej Maryi błogosławionej między niewiastami. Jeremiasz, Wikariusz generalny Rzymu bez słowa sięgnął do swojej podróźnej sakwy i postawił swoją ikonę tuż obok. Obie ikony były absolutnie identycznie: mistrzowsko wykonane i niepokojąco prawdziwe. Idea, którą prezentowały, miała zmienić losy Europy...

Wikariusz odczuwał pozytywne wibracje promieniujące z obu ikon. Cieszył się tą drobną radością. Jeremiasz nie miał ostatnio zbyt wielu powodów do śmiechu. Każdej nocy nawiedzał go w snach widok hord rujnujących jego ukochane miasto Romulusa. Często wspominał *odzianego w biel Ojca Świętego. Wielu innych biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnice wchodzących na stromą górę, na której szczycie znajdował się wielki Krzyż zбитy z nieociosanych belek jak gdyby z drzewa korkowego pokrytego korą. Ojciec Święty, zanim tam dotarł, przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrzurowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała napotykał na swojej drodze. Ostatni Piotr Rzymianin doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku szachidów. W ten sam sposób zginęli jeden po drugim inni biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice oraz wiele osób świeckich, mężczyzn i kobiet różnych klas i pozycji.*

Tak oto miała wypełnić się wkrótce trzecia tajemnica fatimska. Nie mógł tego dłużej znieść. W pewien jesienny dzień wyszedł bosy z Watykanu. Ubrany był jedynie w zgrzebną koszulę. Na pokładzie zwykłego rybackiego kutra opuścił słoneczną Italię aby kontynuować swoją posługę na skałach mglistego Albionu. Chichot dziejów... niedobitki z katolickiego pogromu chroniły się na anglikańskiej wyspie... A wyspa ta wciąż pogrążona była w głębokiej recesji ekonomicznej zapoczątkowanej Brexit'em. Trudną sytuację kraju wykorzystywał nowy król, chcący wzmocnić swoją władzę.

Z chwały i splendoru Watykanu przyszłym pokoleniom pozostaną już tylko albumy i fotografie. Nikt nigdy już nie stanie z filiżanką espresso za plecami Apostołów. Nie będzie razem z nimi przyglądał się tłumowi przewijającemu się w dole przez plac świętego Piotra.

Jeremiaszowi najbardziej było żal Kaplicy Sykstyńskiej. Arcydzieła malarstwa podziwianego każdego roku przez 4 miliony wiernych i turystów. Większość z nich, ciągnięta przez przewodników i popychana przez innych zwiedzających, zatrzymywała się zaledwie na chwilę przed *Sędem Ostatecznym* Michała Anioła Buonarrotiego.

Tylko niektórym udawało się przyjrzeć dziewięciu scenom z Księgi Rodzaju zdobiącym sklepienie. A przecież Kaplica Sykstyńska nie była muzeum! Była

miejszem sprawowania liturgii papieskich. To tu odbywało się konklawe, na którym kardynałowie wybierali kolejnych papieży. Dzięki architektowi Baccio Pontinelliemu Kaplica miała wymiary zburzonej Świątyni Jerozolimskiej, które podaje Stary Testament. Freski ją zdobiące były syntezą teologii katolickiej.

Jeremiasz lubił wmieszać się w tłum zwiedzających. Lubił głos strażnika, który donośnym: „*SILENZIO*” co kilka minut bezskutecznie próbował uciszyć gwar turystów.

Przesiadywał zazwyczaj na ławkach stojących wzdłuż ścian. Zadzierał głowę do góry i zapominał o otaczającym go tłoku i hałasie. Spokojnie kontemlował symbolikę fresków Sandro Botticellego, Pietro Perugina, Domenico Ghirlandia, Cosmy Rossellego, Biagia d'Antonio i Luki Signorellego. Chłonał piękno, głębię i przekaz dzieł przedstawiających kluczowe sceny z życia Mojżesza i Chrystusa, prawodawców Starego i Nowego Prawa. Freski Michała Anioła zostawiał sobie zawsze na koniec wizyty.

Szczególnie upodobał sobie aniołów dmących w trąby wzywając na Sąd Ostateczny żywych i umarłych. Trzech aniołów z tej grupy trzyma w rękach księgi. W małej księdze zapisano imiona sprawiedliwych, których powołano do Raju. W drugiej księdze zapisano imiona potępionych. Ci zaś przez wieczność smażyć się będą w ogniu piekielnym. Księga ta jest tak ogromna, że podtrzymuje ją aż dwóch krzepkich aniołów. Co więcej, jeden z nich wyraźnie pochyla się nad jej kartami. Widocznie imion potępionych jest tak dużo, że zapisano je małymi literami...

Jeremiasz często się zastanawiał, w której księdze zapisano jego imię. Miał oczywiście swoje preferencje. Wiedział jednak dobrze, że wielu zostało powołanych, ale niewielu wybranych. Fresk *Sąd Ostateczny* pełen jest kłębiącej się ludzkiej golizny. Michał Anioł nie zgodził się na zakrycie tej nagości pomimo nalegań Papieża. Po śmierci artysty zadanie zamalowania ludzkich genitaliów płci obojga wykonał Daniele da Volterra. Malarz zyskał dzięki temu ksywę „gaciarz”. Jak to w show biznesie: dobrze lub źle, ważne aby o artyście mówiono! A swoją drogą, współcześni artyści dla sławy raczej zdejmują gacie, a nie je zakładają...

Jeremiasz, Irydon i Marcydor pograżyli się w modlitwie. Ich nocne czuwanie trwało już wiele godzin. Wikariusz i Patriarcha na zmianę recytowali kolejne psalmy. Ich melodyjny rytm odbijał się donośnym echem w całej cerkwi.

Marcydor bezgłośnie poruszał ustami. Z każdym wersem gęstniała złocista mgła zakrywając źrenice w jego oczach. Na jego czole pojawiła się kropla potu. Potem druga... trzecia... i kolejne. Cała twarz mu pobraźla. Jedynie na policzkach pojawiły się delikatne pajęczyny pulsującej pod skórą krwi. Pulsowanie zamieniło się w ogłuszające dudnienie. Drgające ramiona łączyły palce zaciskające się na długiej świecy. Kciuki zupełnie już zsiniały. Migoczący płomień odbijał się złowieszczo w szklistych soczewkach jego oczu. Mnich oderwał od świecy prawą rękę z nadludzkim wprost wysiłkiem. Rozprostował palce i wskazał nimi ziemię. Trzy razy zawołał drżącym głosem:

- Pokuta! Pokuta!! Pokuta!!!

Słowa odbiły się od witraży i powróciły wibrującym echem.

- Biada tym, co zapomnieli się i pogrążyli w grzechach tego świata! Biada tym, którzy odwracają się od cierpienia swoich bliźnich! Biada tym, co wyrzucają chleb do śmieci, a nie podzielą się nim z głodnymi... Zaprawdę powiadam wam: po trzykroć im BIADA! BIADA!! BIADA!!!

- Pytam was wszystkich, teraz tu nie zgromadzonych... I Ciebie też, czytającego te słowa: a co Ty zrobiłeś dziś dobrego dla innych? Bezinteresownie? Nie oczekując wdzięczności i uznania? W pokorze dziękując Panu, że to ty możesz pomagać innym, a sam nie musisz żebrać o ich łaskę? NAPRAWDĘ? A wczoraj i przedwczoraj? Każdego dnia? Czy układając się wieczorem do snu jesteś zadowolony z bilansu swoich uczynków? Jeśli tak... BRAWO! A jeśli nie... Spójrz sobie w lustro. Widzisz fajne, błyszczące oczy? Okna na nieskończoność twojej nieśmiertelnej duszy?! Nie oszukuj się. Jesteś p a s o ż y t e m... I jak każdy pasożyt zostaniesz prędzej czy później odrzucony przez organizm, na którym żerujesz. Wyrwany w rzadkim kale ze śladami krwi. Mocno wgrzyłeś się w tkankę? Czujesz się bezpiecznie? Nie można cię wydalić w naturalny sposób? Żenujące... Zawsze pozostaje jakiś zabieg chirurgiczny, a nawet amputacja. Jeśli zaś jesteś naprawdę wredny i masz wokół siebie inne takie gnidy, z którymi splatacie sieć swojego istnienia? Cóż, potrwa to nieco dłużej, ale w końcu wykończycie swojego żywiciela i zginiecie razem z nim. Niektórym może się udać trochę przeciągnąć swą nędzną roślinność taplając się w rozkładającej się padlinie. Smacznego!

Mercydor przerwał i zapadł się w sobie. Jego ciałem wstrząsnął potężny dreszcz. Wyprostował się, a oczy ponownie rozjarzyły się blaskiem:

- Nie idźcie tą drogą. Zaprawdę można inaczej. Odrzućcie sztuczne bariery. Złączcie rozbite skorupy Kościoła. Niech znów będzie jednym dzbanem, z którego będą czerpać wszyscy spragnieni prawdy i nadziei. Pod jednym dachem niech zgromadzą się wszyscy ci ze wschodu i ci z zachodu i ci z południa i ci z północy. Czas zapalić światło w latarni. Niech to światło zwycięży ciemność. Najmniejszy promyk rozprasza każdy mrok. Nawet największa ciemność nie zgasła zaś jeszcze żadnego światła...

Zaczerpnął głęboko powietrze i kontynuował:

- Odlóżcie na bok fałszywe maski i puste formy. Zburzcie dzielące was mury. Dość już wyszukiwania i podkreślania różnic. Czas dostrzec to, co wspólne i łączy. Sięgnijcie do źródła wody życia i zaczerpnijcie z niego. Wszyscy przecież jesteśmy owcami jednego Pasterza. Czas na wielki Synod.

Ciałem Mercydora wstrząsnął potężny dreszcz. Podniósł wzrok na Pankratora. Osunął się na kolana, zachwiał i przewrócił na wznak. Świeca wysunęła się z rąk mnicha i potoczyła się na posadzkę. Jej płomień zamigotał, ale nie zgasł. Po krótkiej chwili ściekający z niej wosk utworzył sporą kałużę na kamiennych płytach.

- Nie pozwólcie jej zgasnąć... – wyszeptał Mercydor i zgasł.



12 Alfred

Alfred, markiz of Maske-Tower siedział w swoim gabinecie urządzonej w stylu *l'art nouveau*. Ściany wysokiego pomieszczenia ozdabiały plakaty ponętnych kobiet ubranych skąpo lub wcale w otoczeniu klasycznych motywów roślinnych. Do jasnego wystroju pokoju wyraźnie nie pasował zawieszony nad kominkiem łeb dorodnego żubra. Ów wizualny dysonans był aktualnie ostatnim ze zmartwień markiza.

Wpatrywał się on w leżącą przed nim małą stertę niebieskich kopert. Ich obecność na szklanym blacie biurka mogłaby zdziwić postronnego obserwatora. Były bowiem adresowane do różnych osób, a żadna z nich nie była markizem of Maske-Tower. Rozległo się ciche pukanie. Kamerdyner wszedł do środka i położył przed Alfredem kolejny list w równie niebieskiej kopercie.

- *Sir*, ten pan, który przyniósł tę kopertę stanowczo domaga się spotkania. Czy mam go wprowadzić?

- Nie. Lepiej niech sobie idzie do diabła lub czeka z innymi.

- Pozwolę sobie zauważyć *sir*, że to już razem będzie 13 osób... Nie są zbyt kulturalni. Trudno im się dziwić. Pierwsi z nich czekają już prawie dwie godziny.

- Podaj im jeszcze jedną herbatę i powiedz, że zaraz do nich zejść.

Łgał jak sprzedawca używanych samochodów. Nie miał najmniejszego zamiaru z nimi rozmawiać. Bo i co miałby im powiedzieć?! Że wyniki badań jego krwi, które przesał im jakiś anonimowy donosiciel są fałszywe? Nawet jeśli by uwierzyli w to kłamstwo, to odsunąłby swój koniec o dzień, może dwa... Wszyscy zgromadzeni w salonie ambasady byli jego byłymi kochankami. Wystarczy, że sami się zbadają. Jakież choroby weneryczne mógłby zbyć śmiechem. Jednak AIDS to zupełnie coś innego... Było mu używać prezerwatyw! Ale on nie... Kto mu nagadał tych głupstw, że seks w gumce to jak wąchanie kwiatów przez maskę gazową? Przy obecnym stanie medycyny mógł żyć z tą chorobą jeszcze długie lata. Ale to będzie tylko vegetacja... Najdalej jutro w południe całe miasto będzie huczało od plotek! W przeciągu tygodnia stanie się w swoich kręgach *persona non grata* na całym kontynencie.

Kto go tak załatwił? Pewnie jakiś były amant, którego zmienił jak zimowe opony z nastaniem wiosny. Tylko spokojnie... Teraz trzeba myśleć spokojnie i znaleźć wyjście z tej sytuacji. Jest kwiatem lotosu kołyszącym się na oceanie pieprzonego spokoju, czy jakoś tak... G3W musi mu jakoś pomóc!

Jego gorączkowe rozważania przerwał harmider za drzwiami. Wyraźnie słyszał swojego kamerdynera krzyżącego: „Nie wolno wchodzić! Ambasador stanowczo rozkazał, aby nikogo nie wpuszcząć!” Protesty te nie na wiele się zdały. Do środka wtargnął James, rezydent MI6 w ambasadzie.

- Czego?! – ryknął markiz.

- Dostałem instrukcje z Londynu od M – spokojnie odpowiedział agent.

- Tak szybko?

- London uważa, że sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji. Mam odstawić pana na lotnisko. Samolot odlatuje za 3 godziny.

Alfred opadł zrezygowany na swój fotel. Cała jego arogancja i pewność siebie uleciały z niego jak powietrze z balonika policji drogowej.

- James, daj mi przynajmniej kwadrans na ogarnięcie mojego biurka.

- Ależ oczywiście sir. Wrócę tu za piętnaście minut.

Drzwi zamknęły się za agentem. Markiz sięgnął do szuflady swojego biurka. Trzymał tam 9-mm pistolet samopowtarzalny *Browning High Power* odziedziczony po ojcu, oficerze *Royal Navy*. Nie spędzili ze sobą zbyt wiele czasu. Od kiedy pamiętał tatko pływał po morzach i oceanach. Rodzinny psycholog upatrywał przyczyn preferencji Alfreda właśnie w braku silnej, męskiej postaci w otoczeniu dorastającego chłopca. Może i tak, albo i nie... kimże jesteśmy, aby to oceniać? Markiz był w 100% sobą i nie zamierzał nic ukrywać przed światem ku zgorszeniu prowincjonalnej części rodu. Jego ego i tak nie dałoby się upchnąć w żadnej szafie.

Na sfatygowanej kaburze pistoletu wciąż można było odczytać starty napis: „*God Save the Queen*”. A kto jego ocalił?! Nie spędzi przecież reszty swoich dni w jakimś rządowym ośrodku na zadupiu Walii faszerowany puddingiem!

James wpadł do pokoju w ułamek sekundy po tym jak w gabinecie **dygnitarza** rozległ się donośny strzał. Z lufy rewolweru unosiła się cienka smuga dymu...

13.1 Znachor

Wysłużony samochód terenowy zajechał przed leśniczówkę stojącą na polanie pośrodku puszczy. Nadrazil i kierowca ostrożnie wyciągnęli Izydora ze środka pojazdu. Na ganku stał starszy mężczyzna. Bawolich rozmiarów postać opierała się na lasce. Ta drewniana laska pomagała mu odciążyć nogę nadwyrężoną podczas służby w 1. pułku artylerii Legionów. Starzec przyglądał im się zza grubych szkieł okularów korygujących minus osiem dioptrii. Odezwał się donośnym głosem przywykłym do wydawania poleceń i pouczenia innych:

- Nie trzęście tak nim, na litosierdzie boże! Przenieście go na drzwiach do pokoju gościnnego. Pomoc medyczna jest już w drodze.

Nadrazil uśmiechnął się szeroko:

- Rustalko, pozwól sobie przedstawić naszego dobroczyńcę, który zgodził się udzielić nam schronienia pod swoją strzechą.

- Madame, nazywam się Leon Chwistek. Witam w moich skromnych progach.

- Ten Leon Chwistek? Ale... przecież pan nie żyje! Wykończyli pana nasłani przez Witkacego siepacze. Pisały o tym wszystkie gazety głównego nurtu tj. ścieku. Nawet „Wybiórcza” i „Nieskwiq”.

- Haa... wiadomości o mojej śmierci są jak najbardziej prawdziwe, ale mam nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas pozostaną nieaktualne.

- Ale te wszystkie nekrologi... rodzina i przyjaciele nieutuleni w żalu...

- Świetne prawda? Sam się wzruszyłem przy ich pisaniu... No przecież takich ważnych rzeczy nie można pozostawić w rękach jakiś przypadkowych pismaków...

- Ależ w pana rodzinnym mieście powstał nawet komitet budowy pomnika upamiętniającego tak znamienitego mieszkańca Zakopanego.

- Ujmujące, prawda? Gwoli ścisłości: urodziłem się w Krakowie, ale młodzińcze lata faktycznie spędziłem w Zakopanem. Mój ojciec prowadził tam zakład wodolecznicy. To było fantastyczne dzieciństwo. Tyle beztrudnych wspomnień! Do dziś pamiętam, jak wikary poszczuł Staśka, Bronka, Karola, Tadka i mnie psami. Zmykaliśmy, aż się za nami kurzyło! Stare dzieje...

Słońce przebiło się przez mgły unoszące się nad lasem. Pokój wypełnił się ciepłą jasnością. Pośrodku izby stał szeroki stół nakryty obrusem z grubego, czystego płótna. Na jego środku leżał nieruchomy Izydor. Jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała dość regularnie, acz z wyraźnym wysiłkiem i rżeniem.

Ogromna, niedźwiedzowata postać pochylała się nad leżącym i mruzczała coś niezrozumiale pod nosem. Mężczyzna miał około metra dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu i ważył prawie sto kilogramów.. W jego czarnej brodzie połyskiwały pasma siwych włosów. Wielkie, spracowane ręce poruszały się jakimś dziwnym, nerwowym ruchem. Bardzo ostrożnie, centymetr po centymetrze, dotykały leżącego przed nim ciała. Oczy miał zamknięte, tak jakby wzrok mu tylko przeszkadzał w odkryciu wewnętrznej istoty problemu.

Rustalka cicho szepnęła do stojącego obok niej Nadrazila:

- To ma być ta pomoc medyczna? Kto to właściwie jest? Szaman jakiś?
- To Antoni Kosiba, robotnik w pobliskim młynie i jednocześnie miejscowy znachor.
- Znachor... A dlaczego nie weterynarz?! Albo kowal... Wy tu wszyscy oszaleliście!!! Na rzeź mojego Izia tu przywiozłam...

Leon Chwistek, który stał za nimi, wtrącił się do rozmowy:

- Madame, proszę się uspokoić. To najlepszy chirurg jakiego w życiu widziałem. Przyznam, że jego wygląd pozostawia wiele do życzenia, ale ze skalpelem radzi sobie lepiej niż portowa... upss, pani wybaczy: radzi sobie jak dyrygent z batutą. Przywędrował do nas nie wiadomo skąd kilka lat temu. Prokop dał mu pracę w młynie. Wyleczył młynarzowi syna Wasyla, co to miał źle zrosnięte nogi po złamaniu. I tak się zaczęło. Żaden z jego wielu pacjentów nie umarł. Ludziom pomaga, ale żadnych pieniędzy od nikogo nie przyjmuje. Ot, masło, kurę, jajka czy kiełbasę to i weźmie...

Słowa Chwistka uspokoiły nieco Rustalkę. Nieśmiało zapytała znachora:

- Panie Kosiba, czy mój Izydor będzie żył?
- Widzi mi się, że panicz żyć będzie. I to aż do samej śmierci...

Nie miała więcej pytań. Brodaty olbrzym wydawał jej się człowiekiem niesamowitym, tajemniczym i niebezpiecznym. W jego zachowaniu, w pośpiechu i nagłych, krótkich zamyśleniach, w półuśmiechach i w marszczeniu brwi było coś, co wywoływało

zabobonny strach. Patrzyła jak zahipnotyzowana na niezrozumiałe czynności. Znachor powrzucał różne narzędzia do wrzącej wody. Owinął się prześcieradłem. Ustawił na stojącym przy stole taborecie rolki bandażu. Wydobył skądś postronki...

Rustalka pomyślała, że tak musi wyglądać kat, który szykuje się do zadawania tortur. Toteż ogarnęło ją zdziwienie, gdy nagle usłyszała ciepły i serdeczny głos, który mówił pogodnie i życzliwie:

- No, przyjacielu, śmiało, po męsku! Trzeba trochę pocierpieć, jeżeli chcesz znowu być dzielnym, dziarskim mężczyzną. Wszystko pójdzie dobrze. Możesz mimo woli drgnąć i dlatego muszę cię przywiązać. Bo takie drgnięcie popsułoby mi robotę.

Antoni zakasał wysoko rękawy i długo mył ręce w parującej wodzie. Przeżegnał się i przystąpił do operacji. Usunął zakrwawione i przepocone bandaże. Na odsłoniętej skórze widniała wielka, sina plama. Obrzęk był nieznaczny. Przyłożył ucho do klatki piersiowej. Serce ledwie drgało. Bez wahania wybrał ostry, wąski nożyk na długim trzonku. Ciemna krew bluznęła na ręce znachora już od pierwszego cięcia.

Ból Izydora był tak potworny, że ogniem nappełnił szpik w kościach i targnął mięśniami w śmiertelnym skurczu. W oczach zawirowały mu srebrzyste punkciki. Przez jego zaciśnięte zęby wydobyło się przytłumione, długie wycie:

- Aaaa...

- Umiera – szepnęła drżącym głosem Rustalka i zemdląca. Nadrazil chwycił osuwające się ciało w ostatniej chwili przed uderzeniem o podłogę. Wziął ją na ręce i obrócił się w kierunku otwartych drzwi.

- Panowie wybaczą. Nic tu teraz po nas. Tylko zużywamy tlen potrzebny pacjentowi. Zabiorę ją stąd. Nie mącę wody – sphywam żabką. Dajcie nam znać jak już będzie po wszystkim.



13.2 Reaktywacja

Izydor wyszedł na taras. Rozsiadł się wygodnie w wiklinowym fotelu. Zanurzył się w tle promieniowania elektromagnetycznego pochodzącego z zamierzchłych czasów, gdy wszechświat był jeszcze młody. Bozony Higgs'a z trudem spajały kwantową istotę bytu. Smogrzewicz spokojnie obserwował falującą wokół niego rzeczywistość. Zachód słońca wypełnił go ciemnością. Pożegnał z żalem ostatnie fotony. Odgrodził się grubym kocem od chłodu sączącego się z otaczającej go nocy.

Bezchmurne niebo wypełniły iskry odległych gwiazd. Księżyc prezentował się majestatycznie na ich tle. Cień Ziemi odgryzł jego spory kawałek. Pełnia minęła już kilka dni temu.

Rustalka wychyliła się z wnętrza domu:

- Kochanie, wróć już do środka! Zimno jest. Jeszcze mi się przeziębisz... Jest tak ciemno, że prawie nic nie widać.

- Skarbie, ależ właśnie w ciemnościach widać więcej. W mroku moje kulki galarety nie narzucają mi swojej wizji świata. Ja byłem już tak blisko drugiej jego strony... w samym jądrze ciemności! Szedłem przed siebie rozcinając nicość swoim istnieniem. Neutrony bezlitośnie wbijały się w moje plecy. Czulem jak nieubłagane popychają mnie do przodu. Bezwładnie poddając się ich naciskowi dotarłem na skraj przepaści. Palcami stóp wyczułem jej chropowatą krawędź. Cofnąłem się nieco. Opadłem na kolana. Pochyliłem głowę. Moją twarz osmalił żar bijący z głębi. Grawitacja wyciągnęła po mnie macki z odmętów smolistej otchłani. Wciągnąłem głęboko powietrze. Gorąca fala wypełniła mi oba płuca. Zadrzałem i niczym balon powoli uniosłem się w górę. Czulem się jak liść klonu wznoszony jesiennym wiatrem. Otaczający mnie mrok zaczął zmieniać swoją barwę. Przestrzeń wokół mnie przestała już być czarna jak węgiel. Przesuwałem się miękko przez popielatą nicość. Krawędź mojego istnienia wyznaczała fluorescencyjna poświata. Miała taki sam kolor jak ostatni promień słońca zachodzącego nad morzem. I wtedy dostrzegłem, że...

Przełknął ślinę, poprawił wełniany koc i kontynuował:

- I wtedy dostrzegłem, że niebo nade mną stało się krystalicznie niebieskie. Krystaliczne tak, że prawie przezroczyste. Błękitna kopuła otaczała mnie ze wszystkich stron. A ja ciągle się wznosiłem. Nieuchronnie zbliżałem się do szklanego sufitu. Niejasne uczucie wolno przesunęło się wzdłuż mojego kręgosłupa. Napięcie zaczęło budować mur podejrzeń. Coś tam w górze było nie tak na tak wiele sposobów. Szybka akcja była jedynym ratunkiem przed zastawioną na mnie pułapką. Przyspieszyłem się wewnątrz! Czerwone krwinki dostarczyły mięśniom dodatkową porcję tlenu. Z impetem wbiłem się w barierę blokującą przejście na wyższy poziom świadomości. Rzeczywistość otaczająca moje ciało rozmyła się i zmieszała z czasoprzestrzenią. Przez krótką chwilę straciłem przytomność...

Odchrząknął i kontynuował:

- Z odrętwienia wyrwała mnie seria szybkich wybuchów radiowych: najbardziej tajemniczych sygnałów we wszechświecie. Ocknąłem się, wstałem i ruszyłem naprzód. Powoli szedłem długim, szklanym tunelem. Przesuwałem się w otaczającej mnie żółtej bańce światła. Czułem się jak zmutowany świetlik. Rozejrzałem się ostrożnie wokół. Nie byłem tam sam. Wręcz przeciwnie. Otaczało mnie całe dzikie mnóstwo innych świetlików, które podążały w trójwymiarowym labiryncie szklanych tuneli. Byłem tylko iskierką w tłumie iskierek. A w tłumie łatwo się zgubić. Trudno wyszukać kogoś oryginalnego. Ja odnalazłem siebie. Muszę ci się przyznać, że było to początkowo dość przykre doświadczenie. Po tylu latach separacji krytyka była ostra, i niestety uzasadniona. Przyjąłem ją na klatę bez wymówek i bez zbędnego usprawiedliwiania się. Bo oto stał przede mną człowiek, który wiedział gdzie dąży i jak tam trafić. Miał nawet wykupione bilety i to na podróż w pierwszej klasie. Otworzyłem się na jego istnienie. Nasze aury się scalały. W dalszą drogę wybraliśmy się już razem jako nierozdzielna jedność. I oto *hier steh' ich, ich kann nicht anders...*

Rustalka nawet nie próbowała ogarnąć wizji Izydora. Po prostu usiadła na jego kolanach i przytuliła się mocno do niego. Siedzieli tak razem bez słowa otuleni ciepłym kocem. Wpatrywali się w gwiazdy przeżywające swoje własne dramaty w odległej pustce kosmosu. Wokół jednej z nich, Syriusza B, orbitowały planety. Istoty je zamieszkujące też przyglądały się gwiazdom. Jedną z nich było Słońce.

Nad ranem wszyscy mieszkańcy leśniczówki zebrali się w jadalni przy śniadaniu. Za oknem sosnowy las wypełniał poranny śpiew ptaków. Lzydor był wciąż blady. Zgromadzeni wokół stołu widzieli jednak, że szybko odzyskiwał siły witalne z każdą porcją wkładanej do ust jajecznicy. Zagryzał ją świeżym, wiejskim chlebem posmarowanym masłem domowego wyrobu. W przerwie między kolejnymi kęsami zagadnął żonę:

- I jak spałaś kochanie?

- Fatalnie, całą noc śniło mi się, że się budzę... Ponadto strasznie chrapałeś mój drogi. Tobie zaś, jak widzę, ta noc w pełni przywróciła energię i chęć do życia.

- O tak! Czuję, że już czas na nas, aby powrócić do rozgrywek wielkiego świata.

- Izio, a czy źle nam tutaj? Las, cisza, spokój... Nikt nas stąd przecież nie wygania...

- Wręcz przeciwnie! – wtrącił się do rozmowy gospodarz pocierając podbródek. – Nalegam stanowczo abyście pozostali przynajmniej do czasu, aż Lzydor w pełni nabierze sił. Jego stan zdrowia wprowadzie szybko się poprawia, ale wciąż jest daleki od doskonałości. Głębokie cięcie nożem w brzuch to nie przelewki. Prawdziwy cud, że nie doszło do poważnego uszkodzenia organów wewnętrznych lub zakażenia.

- Dziękuję za te słowa i gościnność – odparł Lzydor. – To bardzo miłe z pana strony. Nie mogę się jednak uchylać od moich obowiązków wobec Królestwa, a zwłaszcza wobec naszego Najjaśniejszego Pana. Czuję palec przeznaczenia skierowany w moją stronę.

- A może to ten palec przeznaczenie kieruje w twoją stronę?! – wykrzyknęła wzburzona Rustalka okazując Lzydorowi wyciągnięty palec środkowy w międzynarodowym geście miłości. Zerwała się od stołu strącając z niego nóż i widelec. Wybiegła do ogrodu wściekła i ze łzami w oczach.

Po chwili zamilkł brzdęk srebrnych sztućców na kamiennej podłodze. Ciężka atmosfera wymagała dyplomatycznej interwencji gospodarza:

- Kto życzy sobie jeszcze kawy?

Po śniadaniu gospodarz wybrał się z Lzydorem na przechadzkę po lesie, aby przyjaźnie pogawędzić na osobności o pewnych interesujących go sprawach. Kiedy odeszli już od leśniczówki na znaczną odległość rozpoczęli rozmowę:

- Ujmującą ma pan małżonkę panie Smogrzewicz-Wędziejewski...

- O tak: sobie ujmuje lat, a mi pieniędzy... Ale zawstydzą mnie pan, drogi gospodarzu... Będę zaszczycony, jeśli będzie się pan do mnie zwracał po imieniu!

- Z przyjemnością Lzydorze, ale tylko pod warunkiem, że i pan wyświadczy mi tę samą uprzejmość. Wódki wprawdzie jeszcze razem nie piliśmy, ale to da się akurat błyskawicznie nadrobić.

Co powiedziawszy Chwistek wyciągnął piersiówkę ozdobioną grawerunkiem łbą żubra i podał ją Smogrzewiczowi. Ten odważnie pociągnął sporego łyka. Ogień wypełnił jego gardło, a oczy wyszły mu z orbit jak żabie masowanej przez walec drogowy. Zamrugał gwałtownie powiekami. Dwie duże łzy pociekły mu z oczu.

- Ughr... ahr... Mocne!

Gospodarz poklepał go po plecach i wyciągnął flaszkę z rąk oddychającego z trudem gościa. Pociągnął z niej solidnego łyka, chuchnął dziarsko i oblizał się ze smakiem.

- Dla was miastowych to nawet nasza maślanka jest za mocna – stwierdził zatroskany Chwistek. – Cóż, tradycji stało się zadość: Leon jestem!

- Lzydor, a dla przyjaciół Izio.

- A ja Leon, a dla przyjaciół... – Chwistek zatrzymał się w połowie zdania. – Ja nie mam żadnych przyjaciół... Kiedyś myślałem tak o Witkacym, ale to właśnie on naślął na mnie swoich siepaczy. Mając takich przyjaciół, nie potrzebujemy wrogów... Cudem uszedłem z życiem z tego zamachu. Banda amatorów, nawet zapalnika z opóźnieniem nie potrafili dobrze podłączyć do układu zapłonowego. To mnie uratowało. Tamtego ranka Józef, mój szofer, wyszedł rozgrzać auto przed podróżą. Ładunek wybuchł natychmiast po uruchomieniu silnika. Szkoda człowieka. Dobry był z niego herbatnik. Zanim zaczął pracować dla mnie był kierowcą czołgu w 1. Warszawskiej Brygadzie Pancерnej im. Tadeusza Kościuszki. Przenieśli go do rezerwy po pewnym wypadku. W zasadzie głupia sprawa: podczas defilady z okazji Dnia Niepodległości przejechał kota jakiegoś ważniaka z samej góry. Nikt go po tym nie chciał zatrudnić.

Przygarnąłem Józka, bo było mi go żal. I jak tu nie wierzyć, że czarny kot przynosi pecha?

Nie ma jednak tego złego, co by komuś innemu na dobre nie wyszło. Skorzystałem z okazji i upozorowałem własną śmierć. Nie było trudno. Józek, świeć Panie nad jego duszą, był tej samej postury co ja. Jego ciało spłonęło we wraku pojazdu. Mój zaufany dentysta, za drobną opłatą i pod groźbą utraty własnych zębów (notabene fatalna rzecz, taki brak siekaczy u dentysty), potwierdził identyfikację zwłok. I tak oto znów stałem się anonimowym człowiekiem. Taka dobrze zorganizowana śmierć znacznie wydłuża życie w mojej profesji.

- Nie próbowałeś się na nim zemścić?

- Nie... Witkacy właściwie wyświadczył mi przysługę. Dzięki niemu znowu odzyskałem wolność i wróciłem do mojej pasji tworzenia własnego systemu filozoficznego... Tak czy inaczej: tego Izia to może odłożymy na później... Wydaje mi się Izidorze, że jeszcze sobie na twoją przyjaźń nie do końca zasłużyłem.

- Ależ Leonie, przecież przyjmując nas pod swój dach ocaliłeś nam wszystkim życie, a mi to już w szczególności!

- Może i tak... Miałem jednak swoje własne powody, aby tak postąpić. Kiedyś ci je wyjawię, jeśli tylko przetrwamy całą tę przygodę.

- Twoja motywacja nie zmienia podstawowego faktu: nasi wrogowie bez twojej pomocy dorwaliby nas i gnilibyśmy w jakieś ciemnej celi lub wręcz wędrali kwiatki od dołu.

Gdyby tylko Izidor znał prawdziwe przyczyny pomocy udzielonej mu przez Chwistka! Jego wdzięczność nie byłaby z pewnością aż tak wylewna i spontaniczna. Tak to już jednak bywa, że o najważniejszych dla nas faktach dowiadujemy się zawsze zbyt późno...

- A za co Oni cię tak nienawidzą?

- Dar mam taki, przekleństwo może raczej: przenikam do istoty problemu, nazywam go po imieniu i instynktownie wskazuję najlepszy sposób jego rozwiązania. Nie oglądam się na skutki uboczne dla machinacji biznesowych elit powiązanych z kierownictwem P.Z.Pepu... Z reguły proponuję podejście chirurgiczne: wycięcie wrzodów i usunięcie pasożytów. Przy okazji łamią się perspektywy karierowiczów,

którzy zbyt łąpczywie chcą się obłowić na boku. Nie mam złudzeń: korupcja była, jest i będzie integralną częścią procesu zarządzania każdą instytucją publiczną. Mogę przymknąć oko małe interesiki drobnych malwersantów, jeżeli zagarniają profity dla siebie małą łyżeczką. Na moją pobłażliwość nie mogą jednak liczyć tłuste pijawki żłopiące bez opamiętania i naruszające żywotne interesy publiczne.

- Główny analityk, ideolog i strateg Królestwa, który mówi prawdę... Kto by to pomyślał? Nic dziwnego chłopie, że narobiłeś sobie tylu wrogów. We mnie masz jednak cichego wielbiciela i oddanego fana! Pewnie o tym nie wiesz, ale to dzięki moim staraniom przyjęto cię do działu analiz P.Z.Pepu prosto po studiach. Jest w tym też duża zasługa twojego ówczesnego promotora. Zdradzę ci, że profesor Wilczur jest moim starym przyjacielem jeszcze z czasów wojska. To on pokazał mi twój szkic rozwoju sytuacji w północnej Afryce...

- Naprawdę? Ale to było tylko takie zebranie luźnych wątków... Doprawdy nic szczególnego! Zwykłe studenckie opracowanie jakich wiele każdego roku na każdej uczelni... Ten esej był w zasadzie jakąś moją próbą ogarnięcia się po tych zamachach w europejskich miastach. Pamiętam doskonale ten czas. Przestałem się wtedy golić. Nie mogłem zbliżyć brzytwy do twarzy. Już po pięciu dniach cała szczeka i szyja drapały mnie niemiłosiernie. To była taka moja mała pokuta za bezsilność wobec tej przemocy. Od tamtej pory przestawałem się golić po każdym znaczącym ataku. Z niejasnych powodów było to dla mnie ważne w jakimś mistycznym wymiarze. Był taki okres nasilenia się ataków, że nie było okazji do zgolenia zarostu... I stąd moja broda. Niektórzy mówili mi, że dobrze z nią wyglądam, że dodaje mi powagi... Ja zaś w lustrze widziałem tylko twarz mężczyzny niezdolnego do powstrzymania nadciągającej fali zła. A wszystko, czego dokonałem, aby z tym złem walczyć, to sformułowanie zwykłego opracowania...

- Nie takiego znowu zwykłego! Na 10 miesięcy przed Arabską Wiosną wskazałeś jej przyczyny i najbardziej prawdopodobny przebieg. Żaden znany mi zachodni analityk nie dostrzegł nadchodzącej rewolucji. Twoje przewidywania sprawdziły się w 90%. Mała obsuwa w terminach wynikła tylko z błędnego datowania Ramadanu, dziewiątego miesiąca islamskiego kalendarza. Kalendarz ten oparty jest na roku księżycowym, który ma 354,367 dni i w związku z tym jest krótszy o 10 lub 11 dni od roku słonecznego liczącego 365,25 dni. Dzięki wnioskowi zawartemu w tym esejku zabezpieczyliśmy z dużym wyprzedzeniem wszystkie nasze ambasady i wycofaliśmy

rodziny personelu dyplomatycznego. Na czas odcięliśmy się od upadających reżimów. Niewielkim kosztem wsparliśmy lokalne ruchy i nawiązaliśmy z ich liderami bezcenne kontakty. Takie przyjaźnie zawierane w ogniu walk ulicznych są w naszym rzemiośle na wagę złota. Do dziś odcinamy kupony od tamtego sukcesu. Od tamtej pory czytam wszystkie twoje opracowania! Każde z nich to prawdziwa perełka: wnikliwa, oryginalna i zwięzła. A te wnioski?! Jak się je przeczyta, to wszystko jest takie logiczne i oczywiste, ale jakoś nikt inny przed tobą tak tych zagadnień nie ujmował. Raporty innych analityków to w większości streszczenia jakiejś książki uzupełnione wklejkami z ostatnio opublikowanych artykułów na dany temat. Jak ty się Lzydorze odrywasz od tej medialnej sieczki i wnosisz świeży powiew do tej hali kserokopiarek? Jaki jest sekret warsztatu mojego niedoścignionego mistrza?

- Oj tam, oj tam... Zaraz się zarumienię! Leonie, nie ma w tym żadnej wielkiej tajemnicy. Opracowując nowy temat zawsze przypominam sobie fundament warsztatu każdego dobrego analityka. Nasi naukowcy twierdzą, że terażniejszość trwa dla większości ludzi 3 sekundy. Osobiście uważam, że są nazbyt wyrozumiali dla zwykłych zjadaczy chleba. A i te 3 sekundy to przecież nieco za krótko, aby dostrzec wszystkie aspekty otaczającego nas świata, nie uważa pan? Pewne techniki medytacji pozwalają rozciągnąć postrzeganie terażniejszości do około pięciu minut. Jednak nawet i na tym etapie nasz mózg wciąż nie ma dość czasu na przebicie się przez zewnętrzną powłokę rzeczywistości. Koncentrujemy się na rozróżnianiu kolorów otaczających nas przedmiotów. A barwy te są przecież tylko częstotliwościami światła odbitego od tych obiektów! Poruszamy się po omacku w iluzji rzeczywistości, którą wytwarza dla nas mózg. Nasz umysł to świetne narzędzie do analizy impulsów elektrycznych generowanych przez liczne zmysły, a głównie wzrok, słuch i dotyk. Ma on jednak pewne ograniczenia, z których trzeba sobie zdawać sprawę przed podjęciem ważnej decyzji lub oceną złożonej sytuacji. Należy też pamiętać, że otaczający nas ludzie i organizacje cały czas manipulują nami, aby skłonić do określonego postępowania lub zaniechania określonej aktywności.

- Uuu... Czyżbym spotkał wyznawcę teorii spiskowych?

- Ależ oczywiście! Tylko dwa rodzaje ludzi zaprzeczają istnieniu spisków: naiwniacy i spiskowcy... Organizowanie się w celu osiągnięcia wspólnych celów to fundament rozwoju ludzkości. Problem zaczyna się, kiedy interesy danej grupy znacząco odbiegają od bieżących preferencji otaczającego ich społeczeństwa. W tej sytuacji

grupa taka zazwyczaj podejmuje się modyfikacji otoczenia lub próbuje zrealizować swoje cele pomimo niesprzyjających warunków zewnętrznych. Informowanie o istnieniu planu takich działań zazwyczaj nie sprzyja ich realizacji. W końcu nikt nie lubi być manipulowanym lub ignorowanym, nieprawdaż?

- No cóż, jeśli się tak na to spojrzy... Muszę przyznać, że utajnienie takiego planu, a nawet istnienia takiej grupy znacząco podnosi prawdopodobieństwo sukcesu danego przedsięwzięcia.

- Muszę w tym miejscu zaznaczyć drogi Leonie, że nie jestem wyznawcą totalnej spiskowej historii dziejów świata. Nie wszystko, co się wydarzyło i wydarza jest świadomym efektem działania tajnych organizacji. Głównie dlatego, że większość ich członków to zwykli partacze wykazujący silny syndrom maniakalno–depresyjny. Istotna zmiana głównych nurtów rzeczywistości jest poza zasięgiem takich dewiantów. To chaos generuje większość zdarzeń, które zdolni spiskowcy starają się wykorzystać lub prezentować jako efekt swojej działalności.

- O tak! Sam mógłbym przytoczyć kilka przykładów...

- Właśnie. Dlatego zawsze sprawdzam wszystkie fakty. Sprawdzam kto jest źródłem moich informacji, kto im zaprzecza, kto stara się je zataić, a kto je przeinaczyć. Badam też co i kogo reprezentują wszystkie te strony. Sytuacja robi się zazwyczaj tym bardziej interesująca, im głębiej sięgam aby ustalić prawdę.

- Izydorze, doprawdy podziwiam pana! Tylko tacy jak ty, postaci z wizją, ciekawością otaczającego nas świata i zdrowym rozsądkiem sprawiają, że ludzkość trwa i się rozwija. Tylko...

Nagle Smogrzewicz osunął się na kolana i oparł się drżącymi rękami o pień dorodnej brzozy. Gęsty pot skropił jego czoło. Oczy pokryła mu gęsta mgła. Oddychał chrapliwie i gwałtownie. Chwistek natychmiast rzucił się na pomoc. Niewiele był jednak w stanie zdziałać. Nie był przecież medykiem. W swojej profesji częściej niszczył lub odbierał życie, niż je ratował... Przetarł czoło Izydora swoją chustą. Już po chwili nowe krople zrosiły skórę nad brwiami Smogrzewicza.

Jego palce coraz mocniej wbijały się w korę. Skóra stawała się bledsza z każdą chwilą. Oddech przyśpieszył... Leon wyciągnął z kieszeni marynarki tabletki.

- Masz, połknij szybko tę aspirynę! Nie wiem czy pomoże, ale nie mam tu nic innego...

Lyzdor otworzył usta i zamrugnął powiekami. Chwistek położył biały krążek na wysuniętym do przodu języku. Smogrzewicz zamknął usta i z wysiłkiem połknął pastylkę. Już po chwili jego oddech stał się głębszy i bardziej rytmiczny. Spróbował wstać, ale tylko się zachybotął i opadł z powrotem na mech. Po chwili odezwał się drżącym głosem:

- Leon, już mi lepiej, ale chyba nie dam rady wstać i wrócić do domu.

- Rozumiem... Zachowaj tylko spokój. Zaraz ściągnę nam tu jakiś transport z leśniczówki. Sam nie dam rady dociągnąć takiego dryblasza do domu.

Chwistek odgarnął butem ściółkę. Potężnym uderzeniem wbił swoją laskę w ziemię. Przykucnął i odkręcił gałkę. Na szczycie laski szklany przycisk zabłysnął na czerwono. Leon przyłożył do niego opuszek palca wskazującego. Skaner linii papilarnych zamrugnął porozumiewawczo niebieskim światłem. Po dwóch sekundach przycisk zmienił kolor na żółty. Mężczyzna nacisnął go zdecydowanym ruchem. Przycisk zaczął mrugać po kolei wszystkimi barwami tęczy. Twarz Chwistka nabrała purpurowego koloru.

- Co jest do cholery jasnej z tymi typami ze wsparcia technicznego?! Za każdym razem kiedy człowiek prosi ich o coś prostego i funkcjonalnego dokładają od siebie jakieś bzdurliwe fajerwerki...

Znudzony kontroler siedział przed ekranami monitorów systemu bezpieczeństwa w odległej o 3 kilometry leśniczówce.

- Bip... Bip... Bip...

Mężczyzna zerwał się z fotela na równe nogi rozlewając przy tym swoją kawę. Już po chwili na wskazane miejsce ruszyła z piskiem opon zielona terenówka. Koordynator zaś zabrał się za ścieranie mokrych plam z biurka i drewnianej podłogi. Ewidentnie był osobnikiem o bardzo mocnych dżiąsłach. Komuś o słabszej konstrukcji szczęki wiązka tak ciężkich przekleństw wytrąciłaby wszystkie siekacze z ust.



13.3 Zaufanie

- Napij się wody kochanie – Rustalka podała Izydorowi szklanekę. Pociągnął z niej mały łyk i odstawił ją na nocnym stoliku. Cóż, woda nie wódka: dużo nie wypijesz...

Kobieta pochyliła się nad mężczyzną. Jej cynamonowo-cytrynowy zapach wypełnił jego płuca. Końcówki jej jasnych włosów zmysłowo muskały mu nagi tors. Uff...

- A więc jesteś zdecydowany na powrót do cywilizacji jedynie w towarzystwie Nadrazila... To ma być cała nasza ochrona? Naprawdę?!

- Ależ tak, mój skarbie. Uwierz mi: im mniejszą będziemy grupą, tym łatwiej będzie nam się przemknąć do centrum stolicy.

- Ale Nadrazil... Czy ty mu naprawdę aż tak ufasz?

- Ufam, ufam... Nigdy mnie nie zawiódł, a znamy się prawie od zawsze. Nasze ścieżki zeszyły się jeszcze za młodzieńczych lat w szkole kadetów w Toruniu – Ogólnokształcącym Liceum Wojskowym. To była fajna szkoła dla trudnych, ale ambitnych chłopaków z całego kraju. Żołd płacili nędzny i pod koniec miesiąca zawsze było u nas krucho z kasą. A człowiek nie wielbił: pić musi. Chodziliśmy wtedy do takiej speluny nad Wisłą. Nazywała się „Pod kotwicą”. Nie było to miejsce dla wrażliwych pensjonarek, oj nie... Średniowieczna piwnica, a w niej stoły i ławy przykręcone do podłogi. Fiołkami tam nie pachniało, jeśli wiesz co mam na myśli...

- Chyba już czuję ten klimat, niestety...

- To świetnie! Tak więc pewnego piątkowego wieczoru siedzieliśmy tam sobie nie wadząc nikomu. Przy innych stołach chybotąca się elita miejskich szumowin. Sączyliśmy żółtawą breję, tylko przez barmana zwaną piwem. Prowadziliśmy inteligentną konwersację o kluczowych problemach egzystencjalnych (czyli jak poderwać dziewczyny z Medyka lub Odzieżówki oraz skąd wytrzasnąć kasę na następną kolejkę). A tu niespodziewanie (jak co wieczór) rozkręciła się zadyma!

- A o co poszło?

- No, właściwie to nie wiem... Może żuźłowcy Apatora przegrali mecz z bydgoską Polonią? W zasadzie nie było to ważne, bo jak już powiedziałem, wieczorna bójka była tam raczej regułą, niż wyjątkiem. Każdy powód był dobry, a zwłaszcza brak powodu... Kufle fruwały w powietrzu, rozbite szkło chrzęściło pod podeszwami butów,

chaotyczne serie zwarć w głośnikach nieudolnie imitowały muzykę... Jednym zdaniem: zabawa jak we wiejskiej remizie! Czułem się jak ryba w wodzie ☺ Trenowałem wtedy karate i byłem w świetnej formie. Blok i cios. Ogarniałem się wzorowo. Do czasu... Nagle tak jakoś zgęstniało wokół mnie. Z kotłującej się masy wyłonił się podpity zakapior. Wielki był jak Pałac Kultury. I jak on paskudny. Łapska całe w tatuażach, a w każdej dłoni trzymał obtłuczony kufel. Coś zacharczał i ruszył w moją stronę. Ryj miał zarośnięty. Ohydna blizna w kształcie litery V łączyła jego prawe oko, szczękę i zdeformowane ucho. Nie czekałem: złożyłem się i przywaliłem mu w tę mordę porządnego kopa. Trafiłem tak, że gość musiał paść na glebę. On jednak tylko się zachwiał, zbulgotał niewyraźnie i zamachnął kuflem w moją stronę. Uskoczyłem bez trudu i ponownie przywaliłem. Tym razem dałem z siebie wszystko. Trafiłem koncertowo. Bandzior zatoczył się nieco mocniej, ale ciągle parł do przodu – Izidor przerwał opowieść i przepłukał gardło wodą.

- Zrobiłem krok do tyłu. Poczułem za plecami chłód piwnicznej ściany. Nie było gdzie się cofać. Zakazany ryj wykrzywił się we wrednym grymasie. Dotarł do mnie smród cebuli, spróchniałych zębów i trawionego alkoholu. Zimny pot ściekał mi po plecach. Trzeci raz pociągnąłem mu z buta prosto w krocze. Zasłonił się kuflem. Ożeż ty! Do dziś pamiętam ten ból... Menel przyładował mi na odlew drugim kuflem prosto w twarz. Rozciął mi łuk brwiowy. Krew momentalnie zalała mi oczy. Nie jęczałem. Zacisnąłem zęby. Chłopaki nie płaczą. Na oślep zamłóciłem pięściami. Tylko rozgarnąłem powietrze. Było ze mną krucho. Dosłownie stałem pod ścianą.

Rustalka delikatnie dotknęła prawie niewidocznej blizny nad lewym okiem męża. Uśmiechnął się do niej i własnych wspomnień, po czym kontynuował:

- I w tym ostatnim momencie przez tłum walczących przedarł się do mnie Nadrazil. Nie bawił się w honorowe zagrywki. Kopnięciem wojskowego glana w tył nóg powalił zakapiora na kolana. A potem rozbił na jego głowie kufel. Kawałki szkła rozsypały się wokół... Gościu nawet nie wiedział, kto go tak załatwił. Tamtego wieczoru Nadrazil po raz pierwszy ocalił mój tyłek z niewąskiej opresji. Pierwszy, ale nie ostatni. Jeszcze wiele razy wyciągaliśmy się wzajemnie z różnych tarapatów. Jeśli komuś ufam, to tylko tobie i Nadrazilowi.

Jakże mylił się Izidor, ale o tym później...